

Festiwal Fabuły

17—21.11.2020

Festiwal Fabuły

17—21.11.2020 Poznań



Centrum Kultury
ZAMEK w Poznaniu

FESTIWAL FABUŁY

17–21.11.2020

Spis treści

MARCIN JAWORSKI Konieczność fikcji → 5	ALEKSANDRA SKOWROŃSKA Układy przetrwalnicze → 58	<i>Wierzyliśmy jak nikt!</i> JULITA SEMRAU Starzenie się empaty [Georgi Gospodinow, <i>Fizyka smutku</i>] → 111
WALDEMAR KULIGOWSKI Dzienniczek z dni zarazy [I] → 8	AGNIESZKA BUDNIK Poznańska Nagroda Literacka tańczy na grobach!!! → 65	BEATA STASZAK Rozmowa jest odpowiedzią [Katarzyna Tubylewicz, <i>Bardzo zimna wiosna</i>] → 116
Wielogłos (PAULINA SKORUPSKA, ULA KIJAK, MARIA RUMIŃSKA, KORA GAŁĄZKA, KAROLINA KUCHARCZYK, ALEKSANDRA JAKUBCZAK) Czas zatrzasku. Próba zapisu → 11	PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI A gdyby nagród literackich nie było? → 68	ANTONINA M. TOSIEK Strategie oporu [Georgi Gospodinow, <i>Fizyka smutku</i>] → 120
MAGDALENA BRÓDKA Już wiesz, jak wygląda RuRu? [Joanna Rudniańska, <i>RuRu</i>] → 27	WALDEMAR KULIGOWSKI Dzienniczek [IV] → 78	WALDEMAR KULIGOWSKI Dzienniczek [VI] → 126
ELIZA KRÓL Równo przycięte [Maria Karpińska, <i>Żywopłoty</i>] → 32	WALDEMAR RAPIOR Luka w tkance społecznej [J.M. Coetzee, <i>Śmierć Jezusa</i>] → 82	ALEKSANDRA GÓRĘCKA Każda książka kiedyś się kończy... [Julia Fiedorczuk, <i>Pod słońcem</i>] → 130
WALDEMAR KULIGOWSKI Dzienniczek [II] → 37	EMILIA JĘDROSZKOWIAK „Po polsku to tylko trzy słowa” [Maciej Zaremba Bielawski, <i>Dom z dwiema wieżami</i>] → 85	WERONIKA NAJMOWICZ Utopieni w miodzie [Dominika Słowik, <i>Zimowla</i>] → 135
ANDRZEJ W. NOWAK Lekcja w czasach pandemii [Michał Jędryka, <i>Ołowiane dzieci. Zapomniana epidemia</i>] → 41	OSKAR CZAPIEWSKI Tożsamość i powrót [Siergiej Lebiediew, <i>Dzieci Kronosa</i>] → 90	JOANNA B. BEDNAREK Leśna nienormalność → 139
DOMINIK LISIECKI Niech idą [Bolesław Chromy, <i>Pozwólcie piaskom przyjść do mnie</i>] → 44	MAGDALENA STEFAŃSKA I tak się zgubisz [Barbara Sadurska, <i>Mapa</i>] → 95	PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI Oczy nie mogą już nie widzieć → 148
WALDEMAR KULIGOWSKI Dzienniczek [III] → 48	ANTONINA M. TOSIEK Czas akcji, miejsce akcji [Mikołaj Łoziński, <i>Stramer</i>] → 99	Program Festiwalu Fabuły 2020 → 153
ZOFIA NIERODZIŃSKA Praca kryzysowa, czyli kto tnie szparagi w czasie pandemii → 52	WALDEMAR KULIGOWSKI Dzienniczek [V] → 105	
	MACIEJ DUDA Doświadczenie oswojone [Rebecca Makkai, → 108	

Festiwal Fabuły
17—21.11.2020 Poznań

Centrum Kultury
ZAMEK w Poznaniu

Dobra i różnorodna fikcja jest jak brulion, który pozwala wypróbować różne wersje życia. Jak niedoceniana szczepionka, która okazuje się niezbędną ochroną, gdy chaotyczny świat nas zaskakuje. Dobra fikcja przede wszystkim jednak pozwala wciąż inaczej i od nowa zachwycać się ludźmi i światem.

Nie pierwszy raz świat okazał się inny, niż mogliśmy się spodziewać. W XX wieku, szczególnie w jego pierwszej połowie, niepewność miejsca i czasu, podważanie tożsamości, niestabilna codzienność, instytucjonalna przemoc były doświadczeniem powszechnym nie tylko w Europie. Wykorzenienie, najpierw diagnozowane przez filozofów jako choroba człowieka Zachodu, stało się jego znakiem rozpoznawczym, a nawet powodem do dumy. Głębiej do historii nie sięgam tylko dlatego, że przełom XIX i XX wieku to mniej więcej horyzont książek autorów zaproszonych na tegoroczny Festiwal Fabuły.

Literatura piękna, fikcja literacka w swoim najlepszym wydaniu towarzyszyła kryzysom, wojnom, totalitaryzmem, rewolucjom i rozpadom systemów politycznych – przewidywała je, ostrzegała przed nimi (często kasandrycznie), opisywała, dawała nadzieję albo pozbawiała złudzeń. I wciąż towarzyszy! Nie chodzi o to, że pisarki i pisarze zawsze mają rację, że bezbłędnie trafiają w język czy emocje – nie w tym tkwi źródło ich autorytetu, o ile w ogóle można tu jeszcze mówić o autorytecie.

Fikcja pozwala nam na próbę zmierzyć się z nieprzewidywalnością świata

w wielu wersjach. Ćwiczyć język i wyobraźnię, empatię i dystans, a nawet (jeśli ktoś uważa, że posiada) sumienie oraz (co równie ważne i chyba każdy jakieś posiada) poczucie humoru. Niezależnie od tego, czy sięgamy po pięknie wydaną książkę, czy włączamy czytnik – w rękę mamy brudnopis swoich relacji z ludźmi i ze światem.

Fikcji nie da się przełożyć na prostą użyteczność, nie zadziała ona niczym poradnik albo przewodnik ani nie pozwoli na wgląd w rzeczywistość jak reportaż. Zresztą znajomość wyboru faktów czy przepisów, jak żyć, to zawsze za mało. To uproszczenie, które może dawać złudne i wygodne wrażenie pełnego zrozumienia rzeczywistości albo zgubne (dla siebie i dla innych) przekonanie, że posiadało się prawdę jedyną i ostateczną. W fikcji działają subtelniejsze siły i energie: fabuła, bohater, suspens, metafora, ironia, patos, dowcip... Są one niczym szczepionka – proszę wybaczyć nachalną alegorię – przeciw przypadkowej rzeczywistości, złej woli, aroganckiej głupocie niektórych innych (na przykład władzy) albo przeciwko własnej rozpacz. Oddziałują na życie w sposób daleki od oczywistości, ale bywa, że bardzo skutecznie. Czytając, dajemy sobie szansę, by lepiej rozumieć, dostrzegać, czuć i by dobrze się bawić. Nic tak nie pomaga trzymać się (i wytrzymać) rzeczywistości jak dobra fikcja.

Dlatego na tegoroczny Festiwal Fabuły zaprosiliśmy pisarki i pisarzy, którzy według nas opowiedzieli najlepsze fikcje. Tej szczepionki nie trzeba tworzyć, ona już jest, różne doświadczenia naszych historii pojedynczych i zbiorowych wciąż są znakomicie opowiedane. Rok temu polska prozaiczka odebrała literackiego Nobla. Ktoś mógłby pomyśleć,

że w ten sposób uhonorowano całą polską prozę. Niekoniecznie. Olga Tokarczuk jest wyjątkowa, a polska literatura obfituje w autorów i przede wszystkim autorki, jak pokazuje nie tylko nasz tegoroczny program, godne równie ważnej i tak samo krytycznej lektury.

Równolegle do rozmów o książkach najnowszych proponujemy (nie tylko) uczniom wykłady poświęcone utworom ze szkolnego kanonu. Aktualny spis lektur jest zbyt obszerny, anachroniczny i sprawia wrażenie, jakby skierowany był przeciw nauczycielom i uczniom. Spróbujemy mimo wszystko wspólnie przeczytać go od nowa – i poszerzyć.

Tegoroczny Festiwal Fabuły musi być inny niż poprzednie edycje. Pandemia narzuciła szereg dokuczliwych, trudnych do zaakceptowania, ale koniecznych do przyjęcia ograniczeń. Nie chcemy jednak rezygnować z festiwalu – ciągłość i konsekwencja w życiu kulturalnym są ważne także dlatego, że podtrzymują wzajemne zaufanie wszystkich osób oraz instytucji w niego zaangażowanych. A zaufanie do siebie nawzajem, bliski kontakt na żywo albo online (jesteśmy gotowi na każdą ewentualność!), dobra rozmowa na poważne i całkiem niezobowiązujące tematy są nam teraz bardzo potrzebne.

Jest nam potrzebna dobra fikcja, czyli prawdziwa przyjemność.

PS Bardzo, bardzo, bardzo wspieram niezadowolone kobiety – nie tylko z Zamku.

MARCIN JAWORSKI,
kurator Festiwalu Fabuły

1

WALDEMAR KULIGOWSKI

DZIENNICZEK Z DNI ZARAŻY (I)

[Fragmety i wyimki z zapisków publikowanych na łamach „CzasuKultury.pl” między 10 marca a 19 maja 2020.]

10 MARCA, WTOREK

W nocy na niebie najjaśniejsza pełnia w 2020 roku.

Rano premier Mateusz Morawiecki ogłosił odwołanie wszystkich imprez masowych w Polsce. Władze Poznania na dwa tygodnie zamykają szkoły, przedszkola i żłobki. A także miejskie instytucje, takie jak baseny, zoo, kina, teatry, ośrodki kultury, biblioteki i uczelnie.

Dociera do mnie internetowy łańcuszek zaczynający się od słów: „Garść informacji, które otrzymałem od środowiska akademickiego i od znajomego profesora”. Radzą pić dużo gorącej wody, spacerować na słońcu, nie pić lodu, w ogóle być ostrożnym. Na końcu zalecenie: „Wyślij to do jak największej liczby osób – to twoje osobiste zbawienie od tego wirusa, który nie pojawił się w wyniku jego naturalnej mutacji”.

12 MARCA, CZWARTEK

Zapisałem się do facebookowej grupy o nazwie „Koronawirus – obserwacje społeczne, miejskie i mobilnościowe”. Ma 52 członków. Ktoś namawia w niej – z uwagi na żywność znikającą z półek sklepowych – do jedzenia kaszy bułgur, której jest pod dostatkiem.

Rektor pisze w okólniku: „Myślmy jednak optymistycznie. Epidemia – choć może jeszcze w najbliższych dniach będzie przybierać na sile – w końcu wygaśnie. Zróbmy więc wszystko, by ten trudny okres przejść z nadzieją na szybki powrót do normalności”.

13 MARCA, PIĄTEK

Pośród rynkowych straganów nie komentuje się już epidemii.

Odbieram coraz więcej maili zatytułowanych „odwołanie”/ „cancelled”: w Wilnie uniwersytet zamknięto na pięć tygodni, Kijów odwołuje spotkanie przewidziane na połowę kwietnia, uniwersytet w Brnie odwołuje wymianę akademicką zaplanowaną na połowę maja, w Rydze nie mają pewności, czy zorganizują konferencję zapowiedzianą na początek czerwca. Ile to ma więc potrwać?

– Będzie to wielka społeczna próba – mówi wieczorem premier, ogłaszając zamknięcie granic i centrów handlowych.

16 MARCA, PONIEDZIAŁEK

W południe pierwsze zebranie (Rada Programowa) przez Skype’a. Zaczyna się od ciekawskich pytań: co u ciebie, jak tam, są ludzie? Jedna z koleżanek rozważa zakup lornetki do obserwacji życia zza okna.

Sąsiad z naprzeciwka wiesza na drzwiach obrazek z podobizną Michała Archanioła. Postać z mieczem w dłoni jest przyzywana w walce przeciw siłom zła. Jest też patronem dobrej śmierci.

17 MARCA, WTOREK

Na korytarzu znalazłem ogłoszenie: „Drodzy starsi sąsiedzi. Jeśli boicie się wirusa, potrzebujecie pomocy, chętnie pójdziemy po zakupy albo do apteki. Wystarczy tylko zapukać pod numer 17 albo zadzwonić... Możecie na nas liczyć! Wasi sąsiedzi. Maciek, Tomek”.

18 MARCA, ŚRODA

Mówi się, że koronawirus to pierwszy raz w historii, gdy w Chinach powstał oryginał, a z Włoch przysłała podróbka.

Ciekawą ewolucję przechodzą radiowe i telewizyjne serwisy sportowe. W dobie odwoływania wszystkich zawodów wspomina się wydarzenia sprzed lat, które miały miejsce danego dnia.

Grupa „Koronawirus - obserwacje społeczne, miejskie i mobilnościowe” ma już 397 członków. Rozmowy o nagle wymytych i wysprzątanym sklepach, malejącym niemal o połowę ruchu aut w miastach i rosnącej górze śmieci: jednorazówek, maseczek, rękawiczek... Ktoś przebywający na kwarantannie domowej dodaje, że w takiej sytuacji segregacja śmieci nie wchodzi w grę.

Sąsiad zamienił obrazek na drzwiach. Znowu jest Michał Archanioł, ale tym razem w błękitach i purpurze, z wizerunkiem Jana Pawła II na lewym marginesie i hasłem u dołu: „Patronie Kościoła Świętego, przyzywamy Twego wsparcia”.

CZAS ZATRZASKU. PRÓBA ZAPISU

[Tekst ukazał się w „CzasieKultury.pl” 24 lipca 2020.]

PAULINA SKORUPSKA, KULTUROZNAWCZYNI

I.

Na samym początku pojawił się hasztag #zostańwdomu - nieznoszący sprzeciwu tryb rozkazujący. Postulat słuszny z perspektywy realności zagrożenia epidemicznego, a zarazem trudny do przyjęcia, gdy próbujemy sobie wyobrazić, że w domu - uznanym za najbezpieczniejsze miejsce - część z nas została zamknięta z niebezpiecznym partnerem, niebezpiecznym rodzicem lub niebezpiecznymi myślami. Warto o tym pamiętać, zanim kolejny raz jednoznacznym, radykalnym hasłem i bezwzględny komentarzami na portalach społecznościowych odmówimy komuś prawa do spaceru albo do rozpacz.

Z dnia na dzień wszystko stanęło na głowie. To, co dotychczas wydawało się warte starania i niezbędne dla zdrowia psychicznego, rozwoju i kreatywności - czyli utrzymywanie codziennych relacji społecznych - zostało, jak nigdy dotąd, ograniczone i uznane za zagrażające. Nagle nie pozwolono nam żyć najzwyczajszym życiem.

2.

Na portalach społecznościowych w nowo powstałych grupach zebrało się mnóstwo ludzi, by oferować sobie wsparcie i organizować pomoc tym, którym trudniej było dostosować się z dnia na dzień do nowej rzeczywistości albo którzy są szczególnie narażeni. Natychmiast pojawiło się też sporo hejtu, który administratorzy musieli usuwać. Oceniano, czy zgłaszana przez kogoś potrzeba jest wystarczająco podstawowa, by teraz właśnie pomagać ją zaspokoić.

Od początku zaistniała jakaś niecznośna symetria dobra i zła – „medyków witamy i zapraszamy bez kolejki” albo „prosimy personel medyczny o powstrzymanie się od zakupów”. Lekarzom i pielęgniarkom bito brawo albo oblewano im drzwi farbą.

Zauważalny stał się dystans społeczny w przestrzeniach publicznych – nie tylko pod postacią fizycznej odległości, ale też w nagłym unikaniu spojrzeń; jakby wirus był przenoszony przez kontakt wzrokowy. Do tego doszło – często agresywnie – upominanie osób, które niedostatecznie szybko opanowały nowe zasady, jeszcze nie przywykły do pojemników z płynem do dezynfekcji rąk przy sklepowych drzwiach, jeszcze nie zauważyły linii na podłogach i nie weszło im w nawyk zatrzymywanie się w odstępie dwóch metrów od innych osób stojących w kolejce. Niewybaczalne.

3.

Ruszyła lawina codziennych niecodziennych zdarzeń: policja nadająca przez megafon komunikaty „prosimy rozejść się do domów” w momencie, gdy nie obowiązywał zakaz poruszania się po ulicach; żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej pojawiający się w parkach; lasy zamknięte na podstawie paragrafu, który nie odnosi się do lasów; rekordowe liczby wypisywanych mandatów; plany przeprowadzenia wyborów. Równoległe do tego: czekają susza stulecia, powodzie, druga i trzecia fala zachorowań, płonie Biebrza, a szerszeń morderca dotarł do Europy i zabił pierwszego człowieka w Hiszpanii. W takim nagromadzeniu katastrof przypomina się stary tytuł Pawła Demirskiego: *Kiedy przyjdą podpalić dom, to się nie zdziw.*

4.

Zareagowałam lękiem: o siebie – bo pandemia zastała mnie w momencie, w którym potrzebowałam kontaktów z ludźmi bardziej niż czekolki, a poza tym miałam kilka planów i projektów, które konieczność izolacji zniweczyła; o przyjaciół, którzy tracąc umowy o dzieło w czasie uniemożliwiających ich realizację, znaleźli się w katastrofalnej sytuacji finansowej; o nas – co z nami zrobi życie w rzeczywistości, w której powtarza się nam, że drugi człowiek może nieść potencjalne, całkowicie niezauważalne zagrożenie?

Później przyszło jeszcze dojmujące, nieustające przez wiele tygodni poczucie winy, że nie sprostałam. Nagle czasu wolnego zrobiło się dużo więcej, a ja nie zrealizowałam planów. Nie przeczytałam kupionych książek; nie napisałam wszystkich zaległych tekstów; nie wymyśliłam projektów na najbliższy rok; nie nauczyłam się tego, czego nie umiem, a umieć bym chciała; nie zobaczyłam odłożonych na później filmów; nie odbyłam też wirtualnych spacerów po najświetniejszych muzeach świata. Obejrzałam za to kilka fatalnych rejestracji dobrych przedstawień, by kolejny raz przypomnieć sobie, że teatr to żywa obecność ludzi we wspólnej przestrzeni – i w tym tkwi jego sens. Niech już wróci.

5.

Codziennie rano budzi mnie dobiegający zza okna śpiew kosa i sygnał karetek. Ten drugi nie cichnie w nocy. Złe informacje przygnębiają. Czy czegoś trzeba nam teraz bardziej niż nadziei? Swoją drogą zbyt jasne wizje przyszłości, gdy skonfrontuje się je z faktami, szybko obnażają swoją naiwność.

Nie mamy od kogo się nauczyć, bo nikt tego nie ma jeszcze za sobą – a chciałoby się móc zapytać, jak przetrwać i co będzie dalej.

Być może najlepsze, co możemy teraz robić, to próbować się w tym doświadczeniu spotkać, opowiadać sobie nawzajem, nie zamykać go w tak popularnych ostatnio narracjach o „czasie nam darowanym”.

16 maja 2020

UŁA KIJAK, REŻYSERKA I AKTYWISTKA

Nie dałam rady¹ napisać² tego tekstu³. Ani na poniedziałek⁴, ani na środę⁵, ani na niedzielę⁶. Taki wstyd.

Przypisy:

1) Najpierw chciałam napisać o tym, że najgorsza jest świadomość, że wszyscy dają radę lepiej i szybciej, i bardziej. Ale to nieprawda – wiem, że większość z nas nie daje rady. Niektórym w kość dał sam początek: szok wywołany przez zawałone plany i niewypłacone pieniądze; błyskawiczne obliczenia i przeliczenia budżetu domowego na ilość jedzenia i internetu liczoną w dniach. Innych przygięły do ziemi samotność, niemożność bezpośredniego spotkania, brak dotyku, lęk w oczach napotkanych osób, sąsiedzi omijający się łukiem mierzącym dwa metry.

Inne osoby poddały się rozpaczcy z powodu odwołanych wizyt lekarskich dziadków i chorych na coś przewlekłego przyjaciółek – potrzebujących pomocy, odsuniętych na dalszy plan w związku z priorytetem, jakim jest koronawirus. Jeszcze ktoś inny przepłakał niepoliczalne, nicodrózalne od siebie dni i noce, bo nie mógł i nie może odwiedzić w szpitalu walczącego o życie ojca; a nawet gdyby miał znajomości (jak kolega z fejsa), to i tak by ich nie wykorzystał, bo nie dźwignąłby świadomości, że naraża już i tak narażonego. Niejedna ktosia teraz jest w ciąży, niejedna w zagrożonej, niejedna właśnie urodziła i były drobne komplikacje – i nikt, nikt, nikt nie może przyjść otrzeć jej łez bólu i upokorzenia wzmocnionych hormonami.

A dużo też jest osób, które nie płaczą i nie krzyczą, bo nie mogą dać po sobie poznać, jak bardzo nie dają rady, bo to pociągnie za sobą kolejną przemoc fizyczną i psychiczną za zamkniętymi drzwiami domu, z którego nie wolno im było wyjść bez opiekuna-kata, bo nie mają jeszcze wystarczającej liczby przeżytych lat; więc tak sobie już wewnętrznie umarły po cichutku.

A jeszcze są ci, którzy stracili pracę, mając ukochanych na utrzymaniu i pod opieką. A jeszcze są te, które pod groźbą utraty pracy zgodziły się na niższe stawki i podwyższone limity godzin.

A jeszcze są osoby, którym z racji pracy zdalnej szefostwo i koleżeństwo właśnie weszło przez Zooma z oczami do domu i zobaczyło to, co się ukrywało.

Wiem więc, że to moje złudzenie, że inni mają jogę w ogródku, chleb na zakwasie i pełne wzruszenia porządkowanie pamiętek ze strychu. Ale to złudzenie to część niedawania rady, część dusiołka na piersi, część paniki i samozawstydzania.

2) Najpierw chciałam napisać, że pisanie samo w sobie jest aktem poetyzującym to ekstremalne doświadczenie. Skoro mogę opisać coś, czego doświadczam, to znaczy, że zdołałam to sobie jakoś uporządkować. Chyba że moje pisanie jest aktem terapeutycznym - wtedy porządkowanie przebiega niejako wewnątrz pisania lub przynajmniej można mieć nadzieję, że przebiega. Ale jeśli nie ma we mnie tej nadziei? Jeśli od ponad dwóch miesięcy nie zdołałam uporządkować nawet czapek i szalików po zimie, której nie było? Pisanie nigdy nie było dla mnie czynnością ani łatwą, ani szybką. Potrzebna mi jest do niego izolacja (no przecież jesteś w środku izolacji!?!), ale taka izolacja od tego, co w domu, co na stole, co na podłodze (skup się! bo zaraz dziecko się obudzi i zapłacze i znów zgubisz myśl przewodnią!!!), potrzebna mi jest jakaś moc (trzeba po prostu wziąć się w garść i siąść, i zacząć!!!) i przekonanie, że mam coś ciekawego do powiedzenia (no ewidentnie nie masz nic do powiedzenia, skoro nie piszesz!!!). Wstydliwie więc sięgałam po dyktafon, żeby nagrać pourywane myśli, żeby je potem spisać i udawać, że to pióro lekkie mam, a nie nadmiar słów ze mnie wypływa przez usta. Nie dałam rady nawet wstydliwie nagrać na dyktafon.

3) A tekst ważny przecież. Ile można multiplikować tę narrację o braniu z pandemii tego, co najlepsze? I Paulina zaproponowała, pomyślała o mnie, zaprosiła. Czyli komuś przychodzi do głowy, że mogę, że umiem, że ciekawie dam radę. Czyli Paulina wierzy, że ze mnie wartościowego coś wypłynie. Czyli jak ją zawiodę, to będzie też osobisty, towarzyski zawód; tego się nie robi przyjaciółce. A ja nie daję rady. I ze wstydem przepraszam ją kolejny raz, że jeszcze nie, że próbuję, że obiecuję znów.

4) Bo nie zdążyliśmy przed pandemią znaleźć opiekunki dla syna. Bo ząbki, bo alergia, bo skok rozwojowy. Bo co chwilę zerkam, czy nie przegapiam, że właśnie nauczył się czegoś nowego, a ja tego nie widzę. Bo wszystkie wizyty neonatologiczne, kontrolne, bilansowe z powodu pandemii odwołane. Bo trzeba łapać każdą okazję, żeby dorobić – więc nocami, w czasie snu syna lub wtedy, gdy zajmuje się nim tata, ekspresowo wymuszam na sobie produktywność zarobkową i nie mam już potem siły na wypowiedź. Żadną. Wstyd.

5) Bo trzeba pisać kolejne apele, oświadczenia, odpowiedzi – walczyć związkowo, walczyć środowiskowo, uzmysławiać tragiczną sytuację wielu koleżanek i kolegów. Bo trzeba proponować rozwiązania władzom, negocjować z dyrektorami i dyrektorkami instytucji. Bo trzeba spotkać się na Zoomie i naradzić, jakie kroki podjąć w następnej kolejności. Bo ludzie złożyli wnioski o zapomogi i od wielu tygodni nie dostali odpowiedzi. Bo peron z krajem nam odjeżdża. Bo zniknęły podstawowe swobody obywatelskie. Bo moja wewnętrzna aktywistka wrywa sobie z serca pazurami czas przeznaczony na prysznic i spojrzenie przez okno, i brudna, z mętным wzrokiem rusza do walki o lepszy świat, żeby jej nie było wstyd, jak przypadkiem spojrzy w lustro.

6) Bo w końcu przyszedł kryzys psychiczny i spłynął po twarzy, i plecy zgarbił, i ramiona spiął. A przecież wstyd pisać z takiej perspektywy.

24 maja 2020

MARIA RUMIŃSKA, MUZYCZKA

NIECHĘĆ

Jedną z rzeczy, które zaobserwowałam u siebie podczas trwania tej dziwnej sytuacji, była większa niż zwykle niechęć. Do czytania analiz, grup, forów i oglądania challengów. Może to dlatego, że zaliczam się do osób, które potrzebują wsparcia i nie mam siły przeznaczać marnych resztek oparów energii życiowej na cokolwiek innego prócz oddychania.

PRACA

Zajmuję się zawodowo muzyką. Podobnie jak mój mąż. „O rany, jakie wy macie szczęście – jesteście tacy niezależni i zwiedzacie razem świat!”. Tak to wygląda z zewnątrz; w praktyce jest zgoła inaczej. Ale umiemy to, lubimy i nie narzekamy. W każdym razie, gdy nastał „czas zatrzaśku” (jak to nazywam), rozgrywały się kluczowe momenty i nie ukrywam – gorszej chwili na kataklizm chyba nie mogło być. Ciekawc, jak wielu z nas tak ma.

ZOMBIE W DEPRESJI

Mam mózg, który niechętnie zwalnia procesy analityczne, co czyni moje tkwienie w domu osobliwą udręką. Mieszkamy na parterze. Mamy pancerne żaluzje, bo ileś lat temu przez okno wrzucono nam do salonu kamień. Bałam się więc teraz apokalipsy jak z *The Walking Dead*, w którym bardziej przerażają ludzie niż umarłaki. Miewam też momenty, że czuję się w tej sytuacji dziwnie znajomo, jakby epizody depresyjne z przeszłości były pierwszym treningiem umiętności zapadania się w siebie. Jakby przygotowały mnie do całej tej trwającej, z duszną konsekwencją, suity.

PAUZA

Moja grupa zawodowa straciła wszystkie źródła dochodu w pierwszym rzucie. Doroczna trasa zespołu, gościnne koncerty, nagrania, kooperacje–

wszystko wymazane w kilka godzin. W momencie, kiedy spora grupa ludzi dopiero zaczynała łąpać się za głowy, ja już dawno tkwiłam w dołku i zastanawiałam się, czy istnieje dla mnie jakiś inny zawód niż ten, który uprawiam całe życie.

START

„Czas zatrasku” to jednak wyjątkowa sytuacja. Internet się przytkał. Rzuciliśmy się na filmy i gry niczym na bajki w dzieciństwie. I do social mediów. Pewnego dnia zauważyłam, że nie nadążam za poradami – jak się relaksować, korzystać z czasu z rodziną, rozwijać pozytywne postrzeżenie. W social mediach każdy sobie dobrał stadko. Spiskowe, dowcipne czy remontujące przedpokój. I wszędzie wkrótce napuchły gniew i irytacja. I w tym wszystkim ja – realnie walcząca z końcem świata. Najpierw nasza trzynastoletka zachorowała na ospę wietrzną. Zdrowienie trwało do momentu, gdy powróciły kosmiczne obowiązki zdalnej edukacji. Ta sama szkoła, która do niedawna kulała z wysyłaniem powiadomień internetem, nagle miała korzystać wyłącznie z relacji: nauczyciel – narzędzie szatana – uczeń. Bardzo to było groteskowe. W międzyczasie zaczęłam się poważnie obawiać, że wkrótce odłączą nam internet. Szybko przekalkulowałam, że stanie się to po końcu roku szkolnego.

O edukacji zdalnej pewnie powstanie tyle samo artykułów, co analiza o przemocy w czasie obowiązkowych pobytów w domach. Aż boję się o tym myśleć. O tych wszystkich dzieciach, matkach, żonach. Potem zdaję sobie sprawę, że trzeba mieć świadomość. Aż w końcu opadam z sił do reszty.

Równoległe na szczeblu państwowym zaczęła się dziwna batalia o „unieważnienie z powodu nieodbycia” korespondencyjno-fizycznych zjawisk; a ja w tym czasie zupełnie przestałam widzieć sens pracy nad techniką gry na instrumencie.

DOM

Bojler z gorącą wodą wiszący w łazience uznał, że cała ta kwarantanna nie jest dla niego i skończył ze sobą. W nocy i po cichu. Zrobił to równie niewdzięcznie, jak nastąpił rozpad wolnych sądów i mediów, za-

lewając piwnicę sąsiadki, a nam wciskając ciecierz pod panele podłogowe w kuchni. Po ich demontażu odkryliśmy lastryko. Ktoś nam powiedział, że „ta moda wraca”. Tylko szyderczo zarechotaliśmy. Zrezygnowaliśmy z grzania wody prądem. Pan podłączył nam instalację z pieca gazowego w kuchni. Na ścianach zawisły brzydkie, białe rurki doprowadzające, które właśnie ja – Matejko pandemii – zamalowałam miedzianą farbą akrylową, czyniąc kuchnię jeszcze bardziej hipsterską. Przegieście urodzaju.

FETA KOŃCOWA

Zdawało się przez chwilę, że możemy po prostu żyć pandemiczną codziennością: robić dalej zakupy dziadkom, wpadać w stres i depresję – ale niestety.

Nie wiemy, co to było. Może ukąszenie, może coś innego. Na trzy dni przed moimi urodzinami mąż doznał szoku anafilaktycznego. Spuchła mu czaszka jak arbuz. Pewnie skończyło się szczęśliwie tylko dlatego, że mamy leki antyhistaminowe w domu. Baliśmy się zadzwonić po szpitalną pomoc (brawo my). Wiem jednak, dlaczego: bo nigdy nie było to wskazane rozwiązanie, a teraz tym bardziej – kiedy wszyscy robią challenge, żeby lekarze mogli w ogóle pracować, brakuje maseczek, brakuje wolontariuszy, brakuje miejsc; lepiej im nie dokładać, bo przecież się narażają, lepiej w ogóle unikać spotkań z lekarzami i nie chodzić do szpitali, bo przecież tam tym bardziej można się zarazić. I nie wiadomo, czy się nie umrze, bo wskaźniki z jednej strony są większe, a z drugiej wciąż maleją; ale to nie te wskaźniki. I świat już nie wie, czy Szwecja faktycznie zrobiła dobrze, czy źle; czy skutki depresji nie są gorsze od faktycznego zagrożenia zachorowaniem, które przypomina grypcę, ale nią nie jest... W każdym razie lepiej nie wystawiać się na zbędne ryzyko i pozostać w domu. Obserwowaliśmy więc, jak mężowi głowa puchnie.

Chcę, żeby już było normalnie. Ciekawe, czy pamiętam, co oznacza „normalnie”. Czy poznam, gdy coś takiego wróci, skoro nie wiem, czy było w ogóle?

26 maja 2020

KORA GAŁĄZKA, PRACOWNICA KULTURY

Od ponad dwóch miesięcy siedzę w domu. Czuję rzeczy, których nie powinnam czuć i nie robię rzeczy, które powinnam robić. Uzbierała mi się już całkiem pokaźna sterta niespełnionych powinności, które objawiają się też trudnym do przełknięcia poczuciem winy.

Staram się umiejscowić w czasie moment, w którym izolacja z walki z wirusem przeistoczyła się w walkę z własną głową. Byłam już w tym miejscu! Wszystko wygląda bardzo znajomo. Cztery ściany, unikanie ludzi, szukanie za wszelką cenę dystraktorów, żeby tylko nie przebywać za długo w towarzystwie własnych myśli. Tylko że ja już nie chcę w ten sposób. Gdzieś po drodze polubiłam życie na zewnątrz. Spotkania z przyjaciółmi, robienie rzeczy, kawę na mieście, kino. Czuję, jakby jakaś wielka łapa losu chwyciła mnie delikatnie w dwa paluszki i przedstawiła do mojego życia dwa lata temu. Poklepała po plecach i powiedziała: *there, there, you stay here* (proszę o przeczytanie tego z tatusiowym, brytyjskim akcentem).

Tak, jest mi ciężko. I ten ciężar to pierwsza rzecz, którą czuję, choć nie powinnam. Bo jak wygląda moja sytuacja z zewnętrznego punktu widzenia? Siedzę w ogromnym, wygodnym domu z ogrodem. Z ludźmi, których lubię. Z kotem, który zawsze potrafi poprawić mi humor. Mam partnera, który jest dla mnie oparciem. Jestem zdrowa i bezpieczna. Moi bliscy są zdrowi i bezpieczni. Nie chodzę do pracy, ale moje zarobki się nie zmieniły, dostaję cały czas taką samą pensję. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby je ze znużenia wydawać na pierdoły, ekologiczne mydełka i książki, których nie czytam, bo brakuje mi cierpliwości. W dodatku przez dwie godziny tygodniowo wylewam mojej terapeutce wszystkie frustracje minionego tygodnia. Jaki ty ciężar możesz czuć, Kora? – pytam sama siebie. Ale czuję. „Co zrobisz? Nic nie zrobisz, buta nie zjesz” – jak mawiała moja koleżanka ze studiów.

Nie jest więc łatwo tak się nad sobą poużalać, kiedy fakty mówią, że powinno ci być całkiem miło. Jeszcze gorzej jest wtedy, kiedy czuje się dobrze. Kiedy jest mi wesoło, słucham muzyki, układając puzzle, bawię się z kotem w ogrodzie, oglądam pół dnia seriale i korzystam z wolnego czasu. Korzystam z wolnego czasu! Co, urlop?! Świat się sypie, gospodarka się wali, ludzie umierają, tracą pracę, tracą mieszkania!

Dzieci siedzą zamknięte w domach; i równolegle słyszymy, że wzrasta przemoc domowa! A ty, Kora, korzystasz z czasu wolnego! Brawo ty.

Czy ktoś wie, co powinno się czuć w czasie pandemii? Jeśli tak – poproszę jakiś emocjonalny przewodnik po kryzysie, który jakby mnie dotyczy, ale też jakby nie.

Facebook, Instagram i TikTok stały się moimi głównymi źródłami informacji o świecie. Długo myślałam, że jestem ponad tym ohydny (tfu) trendem, według którego należy czas zamknięcia w domu przekuć w coś pożytecznego. To wspaniała okazja, żeby zdobyć nowe umiejętności! Czas spuścić swoją kreatywność ze smyczy! Widzę na fejsbukach, jak moi przyjaciele nagle zaczynają malować jak cholerny Picasso. Trzaskają akcje, performanse, nagrywają filmy; tworzą! Ja tymczasem angażuję się w challenge: jak długo uda mi się codziennie jeść to samo na śniadanie? Ile odcinków *The Big Bang Theory* potrafię obejrzeć bez pójścia siku. Ile zdjęć kota mogę wstawić, zanim ktoś mnie zgłosi jako spam? Halo, tu poczucie winy. Dawno mnie tu nie było, ale widzę, że nic się nie zmieniło. Siedzisz na tyłku, a twoje życie jest tak ekscytujące jak wzór na pole trójkąta. Kreatywność gdzieś tu przecież była, chowa się pewnie. Energia w maseczce wyszła po mleko, Chęć-Do-Działania pobiegła za nią. Wczoraj dostałam od nich list z Ameryki, że już nie wracają.

24 maja 2020

KAROLINA KUCHARCZYK, POLONISTKA

Nie upiekłam bananowego chleba,
nie nauczyłam się hiszpańskiego,
nie, lektur też nie nadrobiłam,
nie, to nie jest TEN czas,
nie, nie wysypiam się,
nie śpię.

Reakcję na pandemię w Polsce początkowo odebrałam jako niepotrzebną historię. Swoją pogląd zweryfikowałam dopiero po obejrzeniu dramatycznych obrazów napływających z całego świata – zdjęć wojskowych ciężarówek wywożących ciała z jednego z najpiękniejszych włoskich miast i hiszpańskiego lodowiska przerobionego na kostnicę.

Jednocześnie media społecznościowe pękały w szwach od doskonałych rad i pomysłów na przeżycie kwarantanny. Bo to przecież czas niezwykle, czas na refleksję i przemianę. Internet mówił: „Zobacz, ile jest przepisów na ciasta z fasoli i wegański smalczyk”; „Możesz uprawiać jogę, czytać książki i poznawać języki”; „Inteligentni ludzie się nie nudzą”.

Pierwszego dnia chciałam wybrać się jeszcze do kina – nie na jeden, ale od razu na dwa filmy, bo przecież zaraz te kina mogą zamknąć. I zamknęli. Dobra, trudno, obejrzymy w domu. W takim razie czas na mobilizację i zrobienie zakupów – trzeba kupić jedzenie i środki do dezynfekcji; kilka opakowań najlepiej, dla innych też. W ten sposób jakoś zabezpieczę się na czas niewychodzenia. A potem coś włączę, obejrzę, poczytam, popiszę...

Co się stało później? Siedzenie w domu przypominało koszmary z dzieciństwa: przeziębiałaś się, nie odrobiłaś lekcji, odpyskowałaś czy cokolwiek innego – nigdzie nie wychodzisz. Wmawianie mi teraz, że mogę w tym czasie zrobić naprawdę dużo, pogłębia poczucie totalnej bezsilności, którą trudno w jakikolwiek sposób przezwyciężyć. Czy powinienam udawać, że dla mnie to doskonały czas na samorozwój? Nie mam ochoty.

Domowa kwarantanna zastała mnie w momencie względnie dobrego samopoczucia, ale od razu zdałam sobie sprawę, że siedzenie

w domu nie wpłynię na mnie pozytywnie. Perspektywa była przecież zupełnie niesprecyzowana; zawieszony czas mógł zaoferować wiele nowego i złego. Były też wokół osoby, które z dnia na dzień straciły pracę albo zostały zamknięte w domu bez możliwości kontaktu z innymi ludźmi.

Co pomoże o trzeciej nad ranem, gdy żaden Zoom nie działa, hydroksyzyna przestała znieczulać, a alkohol już wywietrzał? Co ukoj tych przeżywających załamanie i zmagających się z prywatnymi demonami? Wiele osób nie może liczyć na wsparcie bliskich, a wszelkie upadki, których jest w tym czasie znacznie więcej niż wzlotów, muszą znośić w przerażającej samotności. Czasem nawet najlepsi znajomi – jeżeli w ogóle tacy są – nie dźwigają naszych codziennych dramatów i łez. Na to raczej nie pomogą wypieki ani nawet kurs zaawansowanej medytacji. Powoli następuje koniec świata, jaki wszyscy znamy, a konfrontacja z tą zmianą może wyrządzić nam wiele szkód. Być może nie wszystkie da się naprawić.

Wczoraj spacerowałam ulicami i zastanawiałam się, czy stanęłam na wysokości zadania, pisząc ten krótki tekst. W pewnym momencie zorientowałam się, że rozmyślałam już bardzo długo i zirytowana energicznie machnęłam ręką do swoich obaw. Zauważyła to jakaś starsza kobieta wyglądająca przez okno i krzyknęła do mnie: „I bardzo dobrze! Nie ma co się przejmować!”

4 czerwca 2020

ALEKSANDRA JAKUBCZAK, REŻYSERKA

Warszawa, 31 maja 2020 roku.

Napisanie tego tekstu okazuje się dla mnie wyjątkowo trudne. Próbuje zebrać myśli już prawie dwa tygodnie; nie wyłania się z tych prób jednak żaden jasny przekaz, spójny tekst. Brak skupienia, rozproszone myśli, zwątpienia. I być może to właśnie najszczęśliwy i najbardziej symptomatyczny stan po ponad dwóch miesiącach życia w pandemii.

A przecież tyle się wydarzyło.

Przerwane próby do spektaklu, na którego realizację tak długo czekałam. Przymusowy powrót do Warszawy. Przyjaciółki ratujące mnie, bo nie mam swojego mieszkania. Fale spokoju i akceptacji, a zaraz po nich napady lęku i paniki. Bo wirus. Bo zagrożenie. Bo zamknięte granice i nie ma dokąd uciec. Bo nie będzie za co żyć. Bezsenność. Pozorowanie życia online. Raczej nie oglądam, nie uczestniczę, nie spotykam się. Przychodzi presja, że trzeba wymyślić siebie na nowo, przetłumaczyć siebie i swoją pracę na język internetu. Bunt: nie chcę tak. Dużo wsparcia od przyjaciół, od teatralnych koleżanek i kolegów. Znowu nadzieja, że razem możemy przygotować i wywalczyć lepsze warunki tego, co teraz i tego, co po. Jeżeli jest przyszłość, to tylko we współpracy. Uczę się myśleć inaczej niż dotąd. Precyzyjniej nazywać to, co nie działało. Dookreślać wizje możliwych rozwiązań. Potem znowu zniechęcenie. Tak trudno ocenić skuteczność działań, gdy doświadczam wszystkiego jedynie poprzez ekran.

Przychodzi moment, gdy dynamika mojego świata zaczyna znowu kłócić się z tym, co na zewnątrz. Nowa normalność. Wielkie odmrażanie. A teraz to już chyba właściwie „koniec” epidemii.

Z czym zostaję?

Nie chcę być popędzana. Do powrotu do teatru, do życia „na zewnątrz”. Do realizowania za wszelką cenę planów sprzed pandemii. Do nadrabiania „straconego czasu”. Chcę czasu na namysł, przestrzeni na przeżycie tej sytuacji i możliwości zareagowania na nią z pozycji tego, co jest, a nie tego, co było. Na przeżycie straty i zdefiniowania na nowo, czym jest dla mnie bezpieczeństwo, jakiego potrzebuję w tym czasie niestabilności i dezorientacji. Możliwe, że nie da się już tych starych planów zrealizować, żyć i pracować jak wcześniej. Zwłaszcza że to

„wcześniej” dla wielu było bardzo trudne już przed kryzysem pandemii. Możliwe, że jeszcze przez jakiś czas będziemy zmuszeni pozostawać w miejscu, robić tylko to, co jest niezbędne, co robić można, nie robić nic.

Nie chcę już pozwalać wmawiać sobie, że jedynym godnym szacunku i uwagi sposobem tworzenia są stawanie do wyścigu, rywalizacja i wkupywanie się w łaski tych, którzy będąc na pozycjach władzy, roszczą sobie prawo do nadawania lub odbierania mi i mojej pracy wartości. Sytuacja pandemii pokazała wyraźniej niż kiedykolwiek, jak pozorna była do tej pory solidarność instytucji kultury z artystkami i artystami. W pierwszym odruchu rzuciliście się do walki o widzialność w internecie i rywalizacji o najlepszy repertuar online, zupełnie pomijając przy tym tych, którzy te repertuary w waszych instytucjach stworzyli.

Chcę nauczyć się w praktyce troski i solidarności. Dzielić się i wymieniać zasobami, także wtedy, gdy oznacza to rezygnację z pełni wygód czy przywilejów. I naprawdę wytrwać w tym.

Chcę zabawy.

Z wami.

RU
RU
RU
DNIA
ŃS
KA

nlsz



MAGDALENA BRÓDKA

**JUŻ WIESZ,
JAK WYGLĄDA RURU?**[Joanna Rudniańska, *RuRu*, Wydawnictwo Nisza 2019]

To był sen na jawie, choć wtedy nie potrafiłam tego nazwać. Obudziłam się i podświadomie czując, że coś się dzieje, spojrzałam na pokój. Już nie był moim pokojem – nagle stał się pokojem złej czarownicy. Stała tam zgarbiona staruszka z orlim nosem i ogromną brodawką na podbródku. Śmiejąc się skrzecząco, jak na wiedźmę przystało, patrzyła na Królową Śnieżkę płaczącą w klatce. Na podłodze stał stary kocioł. Na ścianach wisiały ostre przedmioty (sikiery, toporki), a nad klatką ze skuloną królową w baśniowej sukni wisiały noże – lekko poruszały się, jakby sygnalizowały gotowość do startu. Przyglądałam się im kilka sekund, nie krzyknęłam, nie rozplakałam się – wstrzymałam tylko oddech i szybko schowałam głowę w poduszkę, chcąc uwolnić się od kosmaru. Zasnęłam od razu.

Nigdy nikomu o tym nie opowiedziałam. Bałam się wspominać. Nie chciałam przywoływać w pamięci tego widoku, choć prześladował mnie całe lata – koszmar z mojego dzieciństwa. Pamiętam go do dziś, opiszę go ze szczegółami i pewnie nigdy nie zapomnę.

Każdy ma taki największy strach ze swojego dzieciństwa. Każdy ma swoje RuRu i nigdy o nim nie zapomni.

PRZESZŁOŚĆ CZĘSTO BOLI

Od historii nie sposób uciec – czy to historia światowa, danego kraju, konkretnej rodziny, czy osobista, zawsze będzie nam towarzyszyć. Nawet jeśli skomplikowana terażniejszość próbuje zetrzeć ślady brzoźnienia przeszłości – ono i tak pozostanie.

Opowiadania znajdujące się w zbiorze *RuRu* są zarówno przypomnieniem o historii, jak i wnikliwą obserwacją dziejącą się na naszych oczach rzeczywistości. Joanna Rudniańska gniecie i miażdży teraźniejszość myślą o przeszłości, która cały czas sprawia nam kłopoty.

Najważniejsze tutaj nie są wszystkie wielkie słowa, które znamy z debaty publicznej o przeszłości: antysemityzm, Holocaust, Marzec '68, gułagi, getto. Najważniejsze są osoby i ich osobiste historie, w których wszystkie te słowa są po prostu częścią życia, codzienności.

Są tu bohaterowie, którzy nie potrafią pogodzić się z przeszłością, a jedynym według nich rozwiązaniem jest nieustanna ucieczka – postępuje tak matka Dawida, która wypiera z siebie i swojego dziecka wszelkie związki z Polską. Są i tacy, którzy potrzebują pamiętać, bo to właśnie przeszłość ich ukształtowała. Teresa wraca więc myślami do stepów nad Wołgą, do wydarzeń, które wyryły się w jej pamięci i wcale nie chce o nich zapominać. Julia u schyłku swojego życia nieustannie wraca do Maroka, do Michała, do swojego domu, bo to zbudowało jej tożsamość. Każdy bohater gubi się, błądzi, szuka siebie i to właśnie przeszłość pozwala im zatrzymać się i zrozumieć.

Dzisiaj nie potrafimy wyobrazić sobie traumatycznych, wojennych wspomnień naszych przodków. Możemy je znać, ale nie zrozumimy nigdy. Każde pokolenie ma swoje własne przeżycia, wydarzenia, które zaważyły na ich dorostaniu – i dla każdego z nich przeszłość będzie jawiła się zupełnie inaczej.

My też wracamy. W myślach zapisały nam się pewne dni, lata, krótkie chwile i ważne momenty dla świata i dla Polski. A między nimi jest nasza codzienność. Przypominamy sobie, cierpimy, wyciągamy wnioski i żyjemy dalej.

TAK, PRZYPOMINAM SOBIE

Hanka robiła zdjęcia, ale w czasie wojny odłożyła aparat. Między zdjęciem Starego Doktora a zdjęciem ruin Warszawy z 1945 roku jest luka – jakby nic wtedy nie istniało. Sama nie wie, dlaczego nie sięgnęła po aparat, dlaczego pomyślała o tym dopiero po wojnie. Może po prostu żadne zdjęcie nie umiałoby oddać tego, co działo się dookoła. Są jednak cztery fotografie, które mają dla niej szczególne znaczenie i są ważnym

dla niej łącznikiem między wojenną przeszłością a terażniejszością. Patrząc na nie, opowiada historie, z którymi jest osobiście związana – to ta krótka chwila, w której uśmiechnęła się do aparatu, stojąc obok esesmana albo kiedy oglądała album z wojennymi zdjęciami w muzeum. Z tymi zdjęciami wracają do niej wspomnienia.

Wystarczy rzut oka na fotografię i nagle obrazy zaczynają płynąć, osoby poruszają się i uśmiechają – wszystko wydarza się od początku. Historia wraca, może zostać znowu opowiedziana, choć dowodem jej zaistnienia pozostało tylko zdjęcie. Hanka jest nośnikiem pamięci komunikacyjnej; kiedy ona zniknie ze świata, jej historia pozostanie zapisana tylko na fotografiach, które same, bez jej pomocy, nie opowiedzą nic.

Właściwie w każdym opowiadaniu Rudniańskiej główny bohater ma taki jeden element, jedną rzecz, myśl, która jest wtyczką do uruchomienia całej lawiny wspomnień. Dla Hanki są to zdjęcia; Teresie wspomnienie trawy pozwala opowiedzieć historię znad Wołgi, a dla Ewioletki jest to imię jej australijskiego psa. Może każda z bohaterek ma swoje „plateau”, jak dla Ewy zastanie w łazience nagiego ojca. Taką najbardziej istotną chwilę w życiu, która właściwie niczego nie zmienia, ale od tego momentu, przez nią, inaczej patrzymy na rzeczywistość.

Chodzi o zasadę nakładania się na siebie skojarzeń. Jedna rzecz przywołuje na myśl inną, ta odsyła do punktu w przeszłości, a ten znowu do innego momentu – i tak tworzy się cała opowieść. Historie na zasadzie skojarzeń. Niby nic wielkiego, a jednak ważna i osobista historia, tkwiąca w kimś jak zardzewiały gwóźdź w starej desce.

PRZESTAĆ SIĘ BAĆ

Z każdą przeszłością trzeba się pogodzić, poradzić sobie z nią, żeby w końcu przestać się bać. Ale może strach jest wieczny? Może każdy lęk zostaje w nas do samego końca, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy. Z czasem po prostu uczymy się z nim żyć.

Ewioletka nigdy nie zapomniała o swoim lęku z przeszłości. Całe jej dzieciństwo spędzone w Polsce należało do tych nazywanych traumatycznym, o którym nie sposób zapomnieć. Jednak otoczenie postanowiło zapomnieć o jej historii za nią. Zmiana rodziców, kontynentu, domu, języka – to tylko kilka rzeczy, które nagle stały się dla niej inne.

Wszystko na nic, bo Ewioletka nigdy nie zapomni. Choćby cały świat stanął na głowie, w pamięci zawsze będzie miała Sklepową, bliźniaków, niebieskie beczki po ogórkach, mebloszafę i RuRu. W nowej rodzinie z nikim nie potrafi o tym porozmawiać, bo tam mówi po angielsku, a ona po angielsku nie znajdzie odpowiednich słów – jej historia wydarzyła się po polsku i tylko po polsku może ją właściwie opowiedzieć. Bohaterka mówi: „Po angielsku nie ma słowa «Sklepowa» i nie ma słowa «Ewioletka», po angielsku nie można powiedzieć wszystkich rzeczy”. Nie może zapomnieć o przeszłości, bo to jest element jej tożsamości. Jej życie nie zostało przerwane w momencie wyjazdu do Australii – ono trwało dalej, choć zmienione nie do poznania. Nadal jest tą samą dziewczynką, z taką samą historią.

Bohaterowie opowiadań wiedzą, że nie mogą bać się swojej przeszłości. Strach przed tym, co było, jest ich porażką. Można się bać – przecież każdy się czegoś boi – ale bać się własnej historii to jakby bać się siebie samego. Z historią trzeba sobie poradzić. Można ją sobie przypominać, opowiadać, analizować i wyciągać z niej wnioski – ale nie można o niej zapomnieć.

Nasze strachy i lęki są naszą historią, naszą przeszłością i naszą tożsamością. Jesteśmy nimi, bo one żyją w nas. To może być głos w słuchawce, trawy nad Wołgą, antysemicka Polska albo czarownica, która pojawia się w pokoju, gdy śpisz. Każdy ma taki jeden największy strach ze swojego dzieciństwa. Każdy ma swoje RuRu i nigdy o nim nie zapomni.

Maria Karpińska

ŻYWOPLÓTY



ELIZA KRÓL

RÓWNO PRZYCIĘTE[Maria Karpińska, *Żywopłoty*, Wydawnictwo W.A.B. 2020]

Żywopłoty Marii Karpińskiej są opowieścią o ludzkim życiu, składającą się z kolejnych dekad i towarzyszących im historii, które łączą się w pejzaż życia bohatera. Bohatera bezimiennego, o którym wiemy jednocześnie za dużo i wciąż za mało. Najbardziej odkrywa się on w sytuacjach z pozoru nieistotnych, by w momentach przełomowych niejako chować się, nie pozwalając się rozszyfrować. Na przestrzeni dziesięcioleci bywa dziecięcym okrutnikiem, pracownikiem palmiarni, budowlańcem i hydraulikiem. Bohater, będący pierwszoosobowym narratorem, jest sędzią we własnej sprawie – to on w opowieści stwarza świat przedstawiony i samego siebie. Łatwo jednak uwierzyć w to, co mówi, bo jest typem gawędziarza. Czujne obserwacje rzeczywistości ubiera w słowa kształtne i akuratne. Żywioł opowieści zdaje się mocą potężną, stwarzającą – zaistnieć ma prawo tylko to, co zostanie nazwane i umieszczone w narracyjnej ramie.

RATUNEK W JĘZYKU

Żywopłoty to przykład literatury bardzo literackiej – pławiącej się w słowach, delektującej się własną strukturą, w której język jest nie tylko tworzywem, ale i bohaterem. To język daje nikłą nadzieję na uporządkowanie świata, który jak na złość nie chce pozwolić się zrozumieć, posegregować w odpowiednich szufladkach. Te próby okiełznania rzeczywistości bohater podsumowuje słowami: „[...] czuję, jakbym zsuwał się ze spadzistego dachu i tylko słowa mogą sprawić, że w ostatniej chwili uratuje mnie rynna”. Inną sprawą pozostaje skuteczność podejmowanych prób. Bo może się okazać, że istnieją wypadki, w których człowiek

zmierzyć musi się ze światem bez bufora bezpieczeństwa w postaci języka, będącego przecież czymś w rodzaju mechanizmu obronnego, dającego poczucie władzy nad rzeczywistością. Metaliterackość tej prozy ujawnia się już w prologu, gdy bohater-narrator deklaruje: „[...] jeśli rzucicie hasło, napiszę, co tylko chcecie. Anons, pamflet, umowę społeczno-cywilną. Wszystko. Usiądę, zastanowię się chwilę i napiszę. I będziecie zadowoleni”. To wyzwanie rzucone światu jest niczym innym niż wyrazem zachwytu językiem, który może stać się wszystkim.

RZECZY PIERWSZE I OSTATNIE

Maria Karpińska w swoim debiucie skupia się na wąskim pasie ziemi między dwiema twierdzami - indywidualnością i uniwersalnością. Jej bohaterowie są jednocześnie konkretni, osadzeni w niemalże namacalnym kontekście określanym przez szczegółowy opis, ale emocje, które przeżywają, i dylematy, które przychodzi im rozstrzygać, są powszechne i ponadjednostkowe.

Karpińskiej udaje się uniknąć patosu, nawet gdy opowiada o tym, co bywa na patos niezwykle podatne - miłości, śmierci, zawiedzionych nadziejach, przemijaniu. Balansując na cienkiej linii, autorka nie wpada w przepaść wzniosłości dzięki rygorowi języka, skąpom, aczkolwiek dostatecznym dawkom czarnego humoru, ale przede wszystkim dzięki temu, że o swoich bohaterach opowiada czule, z wyrozumiałością i empatią, zrzekając się przywileju oceny. Opowieści o tym, co najintymniejsze, snute są z lekkością, jak gdyby autorka ślizgała się jedynie po powierzchni wody. Ale całe bogactwo emocji i sensów odbija się od dna i wypływa na powierzchnię, czyniąc z *Żywopłotów* prozę intrygującą i daleką od taniego sentymentalizmu.

Wspaniale opisana pierwsza miłość przydarza się bohaterowi w wakacje lat dziecięcych, gdy obiektem jego szaleńczych uczuć staje się „dziewczyneczka” zdolna do okrucieństw, stanowiących jaskrawy kontrast dla jej przydomku: „Ja miłość swojego życia przeżyłem tamtego lata, gdy pozwalałem, by małe dziewczęce rączki ciągnęły mnie za uszy, gdy wstrzymywałem oddech pod wodą tak długo, że ciemniało mi przed oczami, gdy byłem bombardowany jajkami, które chwilę wcześniej na polecenie małej dziewczynki wykradłem z kurnika sąsiada”.

Pamiętane dokładnie pierwsze razy we wspomnieniach przyćmiewają razy ostatnie, rozmywające się we mgle pamięci: „Gdyby wszystkie rzeczy, które robiłem po raz ostatni, były odpowiednio tą ostatecznością oznaczone, celebrowałbym je – myślałem, chociaż nie byłem pewien, czy to prawda. Żegnałbym się z życiem podczas każdej z nich na raty, świadomie”.

Są *Żywopłoty* także piękną opowieścią o czasie, który daje się przyspilić jedynie w krótkich scenach, historiach zwyczajnych, a jednak choć trochę ujawniających tajemnice przemijalności. Ta ostatnia zaś nie przestaje zadziwiać aż do momentu, gdy można już tylko zdać sobie sprawę z tego, że „młodym można być na różne sposoby, ale starym tylko na jeden, niekompatybilny z żadnymi wyobrażeniami ani aspiracjami”.

SZTUKA TRACENIA

Żywopłoty opowiadają też o roli przypadku w życiu; o momentach niepozornych, wywracających nagle wszystko do góry nogami lub będących początkiem powolnych zmian. Są o przyjaźni i miłości, starzeniu się i umieraniu oraz o tęsknocie – „najpiękniejszym uczuciu, jakie istnieje, znienawidzonym przez tłumy”. I są w dużej mierze o utracie, która wydaje się jednym z najważniejszych tematów tej prozy. To właśnie prześwituje zza zgrabnych zdań Karpińskiej – w życiu konstytutywne jest tracenie, a nie zyskiwanie. Traci się bliskich, możliwości, ufność względem swojego ciała, złudzenia, sprawczość. Zyskać można jedynie świadomość, że utrata jest nieunikniona: „Starość to niby czas podsumowań, ale gdy patrzę wstecz, nic nie widzę. Jakbym był pusty w środku, stworzony dziś rano, od razu taki – zdziadziały, zrzędlawy, zgrzybiały. Albo odwrotnie – jakbym obejmował parę życiorysów naraz, jakby moje życie poszło paroma równoległymi torami, a w każdym z nich poniósłbym porażkę, stał z boku, komentował, patrzył, nigdy jednak do końca uczestniczył, żył”.

Bohater Marii Karpińskiej istnieje pomiędzy słowami, zdaniami, akapitami, ale także – co nie mniej ważne – pomiędzy innymi bytami (ludźmi, roślinami, zwierzętami), z którymi relacje kształtują go, a może nawet stwarzają od zera; nawet jeśli nie zawsze takiego, jakim chciałby być. Pełne młodzieńczego entuzjazmu miłosne relacje z kobietami wydają

się równie ważne, jak przepelniona starczą mądrością przyjaźń międzygatunkowa z umierającym bernardynem. Uczucia budzące się nad ledwo żywym fikusem są nie mniej silne niż te jedynie domniemywane w szpitalnym łóżku, wycytane z tembru głosu, półsłówek, niedomówień. Jakkolwiek surowo bohater Karpińskiej by siebie nie oceniał i jak bardzo samotny momentami by się nie czuł – zawsze znajduje się w sieci relacji z innymi, którzy, nawet oddzieleni żywopłotem, są na wyciągnięcie ręki, przecierają przez liście i mogą być odpowiedzią na choćby część pytań.

2

WALDEMAR KULIGOWSKI

DZIENNICZEK Z DNI ZARAŻY (II)

19 MARCA, CZWARTEK

Wygląda na to, że stan pandemii się ustatecznia, powszednieje. W warsztacie samochodowym ludzie od rana wymieniają opony. W skupie złomu, po sąsiedzku, gwar i ruch. Cała ulica w ulotkach o zbiorce odzieży zaplanowanej już zaraz, na sobotę. Z czołówek serwisów zniknęły powtarzane od kilku tygodni statystyki zakażeń. Rozmowy na ulicach dotyczą spraw codziennych.

20 MARCA, PIĄTEK

- Ludzie się boją - stwierdza zaprzyjaźniony sprzedawca. [...]

Wieczorem premier wprowadził stan epidemii. Przerwa w szkołach i na uniwersytetach do 14 kwietnia (Wielkanoc).

- Wiemy, że to jest dla wszystkich państwa bardzo trudny i ciężki czas - oznajmił minister zdrowia.

22 MARCA, NIEDZIELA

- Czy klienci bardziej uważają? - zagaduję sprzedawcę na Orlenie.

- Wszyscy, którzy tutaj przychodzą, nie uważają - gasi mnie.

Paliwo jest chyba jedynym towarem, który wyraźnie potaniał.

Jedynym zaś domowym beneficjentem stanu epidemii jest pies: od kilkunastu dni bez przerwy z człowiekiem i spontanicznymi spacerami o każdej porze.

23 MARCA, PONIEDZIAŁEK

Rano mail od nieznanej mi osoby, a w nim „Pieśń na Wielki Post roku pańskiego 2020, roku zarazy” z trzecią strofą:

Profesorze (czy doktorze),
Nieświadomyś (choć ty możesz
badać, co ci los przyniesie),
ciebie też ma śmierć w notesie.
Z życia swego bliskim kresem
pogódź się i odłóż esej,
już nikomu się nie przyda
ten twój Lacan czy Derrida.

[...] Wokół placu krąży samochód straży miejskiej, nadając informacje o zagrożeniu epidemicznym. Dwie godziny później sanepid nakazał zamknięcie wszystkich targowisk w Poznaniu.

24 MARCA, WTOREK

- Stary, widzę teatralizację wszystkiego. I pełno wątków tanatologicznych - opowiada kolega z Ożarowa. - Mamy teraz w Polsce wielki powrót baroku!

W południe rząd wprowadził nowe obostrzenia: obowiązuje zakaz zgromadzeń, na nabożeństwach nie może być więcej niż 5 osób, wychodzenie na zewnątrz dozwolone jedynie w sprawach koniecznych.

25 MARCA, ŚRODA

Nowy poszukiwany towar: drożdże.

26 MARCA, CZWARTEK

Jedni porównują ciszę za oknami do czasów stanu wojennego. Inni mówią, że mamy wiosnę jak w dniach skażenia radioaktywnego z Czarnobyli.

- Nie więcej niż pół godziny dziennie - deklaruje koleżanka.
- Tyle czasu wyznaczyłam sobie na newsy o wirusie. Wcześniej oglądałam to non stop.

27 MARCA, PIĄTEK

- Ten kryzys jest inny od wszystkich. Mamy do czynienia ze zjawiskami bezprecedensowymi - powiedział w sejmie premier.

28 MARCA, SOBOTA

- Banknoty z szafy pachną inaczej niż takie z portfela, ja to poznaję - stwierdza aptekarz. - Ludzie zaczęli teraz płacić oszczędnościami.

Znajoma, zajmująca się odbiorem przychodzących do jej firmy paczek, popłakała się, gdy przyszło jej rozpakowywać przedmioty zawinięte w niemieckie gazety pełne nekrologów.

30 MARCA, PONIEDZIAŁEK

W korespondencji „wiersze na czas kwarantanny” ze strofą „jedynym moim obowiązkiem / jest pisanie i myślenie o sobie / jak tu należy zmienić życie na lepsze / więcej się modłę”.

- Może mi pan skasować? - prosi starszy mężczyzna i podaje papierowy bilet. Wraca właśnie ze szpitala i czuje się słabo. Ręka mi zadrżała.

31 MARCA, WTOREK

Rząd wprowadza kolejne obostrzenia: zamknięte parki, plaże i bulwary, zachowanie dwumetrowego odstępu, nieletni mogą wychodzić tylko pod opieką dorosłych, wymóg noszenia rękawiczek podczas zakupów, zakaz używania rowerów miejskich.

Kończy się dziwny, pełzający, podszyty niepokojem marzec.

KP

MICHAŁ JĘDRYKA
OŁOWIANE DZIECI
ZAPOMNIANA EPIDEMIA

NIEFIKCJA

ANDRZEJ W. NOWAK

LEKCJA W CZASACH PANDEMII

[Fragment recenzji *Oświecenie jest kobietą* poświęconej książce Michała Jędryki

Ołowiane dzieci. Zapomniana epidemia, Krytyka Polityczna, 2020.

Tekst ukazał się w „CzasieKultury.pl” 8 lipca 2020.]

Ołowiane dzieci to w większym stopniu opowieść o PRL-u niż o samej chorobie i epidemii. Ale – paradoksalnie – dzięki temu jest to książka tym bardziej potrzebna nam w czasie trwania pandemii COVID-19. Jędryka bowiem ujawnia to, czego dziś nie ma lub brakuje. Chorobę mamy, podobnie jak wtedy. Tak jak ołowica była skutkiem ubocznym przemysłowienia, tak wirus SARS-COV-2 i powodowana przez niego choroba COVID-19 jest skutkiem ubocznym masowej hodowli zwierząt rzeźnych oraz zglobalizowanej gospodarki. *Ołowiane dzieci* pokazały, że PRL potrafił czynić „zła”, ale (przynajmniej do pewnego stopnia) potrafił wobec owego „zła” wdrażać działania naprawcze. Co więcej, owo „zło” było – przynajmniej w części – skutkiem ubocznym chęci tworzenia „dobra”: świata, który miał na celu ulepszenie naszego życia. Kapitalistyczny projekt tak samo nie jest wolny od czynienia „zła” – tyle że nie ma wbudowanej w siebie możliwości wytwarzania „dobra”; nie potrafi pobudzać do działania. Bohaterki opowieści Jędryki mogły szantażować partyjnych notabli tym, że misja ratowania zatrutych ołowiem dzieci jest „sprawą robotniczą”, „poprawianiem losu ludu pracującego”, „wypełnianiem misji socjalistycznego państwa”. Obojętnie, czy wierzyły w to, czy nie, obojętnie, czy wierzyli wojewoda Ziętek i pierwszy sekretarz Gierek – legitymacja poprzez „projekt”, „ideę” miała charakter performatywny. Dziś, gdy świat kapitalistyczny legitymizuje się jedynie poprzez narrację indywidualistycznych mikroprojektów, ów performatywnie skuteczny szantaż znika. W imię czego mamy mieć kwarantannę? W imię czego poświęcamy własne swobody? W imię czego mamy

godzić się na opresję ze strony organów państwowych, na przykład policji? Gdy brakuje mobilizacyjnego projektu i nadziei na zmianę, pozostaje jedynie możliwość odwołania się do ochrony życia. To bardzo wiele – wystarczy, aby zmobilizować nas do „komunizmu katastrof”, jak nazwał tę sytuację (na wzór „komunizmu wojennego” okresu rewolucji październikowej i wojny domowej w Rosji) w książce *Pandemia! COVID-19 trzęsie światem* Slavoj Žižek. Stanowi on możliwość zastąpienia dobrze rozpoznanego przez Naomi Klein „kapitalizmu katastrof”. Obserwacja tego, jak poszczególne kraje lub wręcz obszary radziły sobie z pandemią, dowodzi, że taka alternatywa jest realna. Możemy wybrać pomiędzy „komunizmem katastrof”, który stał się źródłem sukcesu takich krajów, jak Wietnam, Tajwan, Korea Południowa czy stan Keralę, a klęską neoliberalnego „kapitalizmu katastrof”, z jakim mamy do czynienia w USA. A jednak samo wybranie odpowiedniej ścieżki nie wystarczy; stanowi jedynie pierwszy krok. Aby zaplanować, co dalej, po „przeżyciu”, potrzeba „projektu”. Tym razem konieczne jest skuteczniejsze wmontowanie w niego mechanizmów autokorekty i autonaprawy. Tak by kobieco-oświeceniowa korekta systemu nie była wynikiem heroizmu jednostek, ale stała się jego integralną częścią.

BOLESŁAW CHROMRY

POZWÓLCIE PIESKOM PRZYJŚĆ DO MNIE



DOMINIK LISIECKI

NIECH IDĄ

[Bolesław Chromy, *Pozwólcie piaskom przyjść do mnie*,
Wydawnictwo W.A.B. 2019]

Powieść Bolesława Chromyego *Pozwólcie piaskom przyjść do mnie* można czytać jako jedną z wielu podobnych. To pisana z ironią i gorzkim poczuciem humoru opowieść o pokoleniu trzydziestolatków uwikłanych w rzeczywistość kapitalizmu: zawieszonych między buntem a biernością, pragnieniem niezależności a chęcią przynależności. Choć wyjątkowych, to ludzko do siebie podobnych. Nic od dziś wiemy, że porządek społeczny budowany w oparciu o zasady konsumpcji prędzej czy później staje się farsą. Na szczęście u Chromyego ciszę przed burzą umilają tytułowe piski.

„JEŻELI KANAPA, TO WYŁĄCZNIE TAKA”

Choć książka Chromyego jest debiutem prozatorskim, autora kojarzyć możemy z innej działalności artystycznej (z powieści graficznych: *Notes dla ludzi uczulonych na gluten i laktozę*, *Elementarz Polski dla Polaka i Polki z Polski*). W nowej książce twórca nie rezygnuje z nieco przygnębiających ilustracji. Wpisują się one w specyfikę powieści – pozornie sielankowej, ale w gruncie rzeczy niepokojącej.

Ów niepokój od samego początku budują nie tyle wydarzenia (których jest stosunkowo mało), co dość sugestywnie sformułowane opisy (czasami nazbyt uproszczone). Młode małżeństwo – Bartka i Dorotę – poznajemy w momencie podpisywania umowy na kredyt hipoteczny. Warunki korzystne – tylko 15 lat spłacania. Zamiast spodziewanej grozy długoletniego zobowiązania finansowego narrator wydobywa przytłaczającą nudę sytuacji, biurokrację i bełkot (korporacyjną nowomowę) przedstawiciela banku. Małżeństwo wkrótce potem wprowadza się do nowego lokalu i dzięki spacerom z psem Gizmem poznaje okolicę.

Bartek i Dorota to przedstawiciele tak zwanej branży kreatywnej. Ich obserwacje pełne są aluzji do świata sztuki, ale i szerzej – kultury popularnej oraz skojarzeń ze światem konsumpcji. Chromry sprawnie posługuje się tym językiem, robi to z niezwykłą swadą i lekkością, a jednocześnie wywołuje w czytelniku poczucie dyskomfortu. Na kartach powieści pojawiają się zarówno Immanuel Kant, jak i Kora Jackowska; Marina Abramović i Jeden Osiem L; Debbie Harry i Adrien Brody. Całość staje się erudycyjną przeplatanką; ale w takim samym nagromadzeniu obok nazwisk – albo właśnie z nimi – pojawiają się kolejne nazwy: produktów, marek, przedmiotów, etykiet. Cały blichtr konsumpcyjnego życia. W ten sposób opowieść Chromrego zamienia się nie tylko w sentymentalną przeprawę przez lata 90. i pierwsze, zaś samo nagromadzenie powiązań staje się aż nadto odczuwanym elementem otoczenia i sukcesywnie zaczyna burzyć spokój czytelnika.

Coraz bardziej zaznaczany na kartach powieści przesył powiązany jest z zachowaniem głównych bohaterów. Nietrudno odnieść wrażenie, że przyjezdni z Krakowa „młodzi dorośli” starają się znaleźć miejsce dla siebie. Cel tej podróży wydaje się jednak tak samo mglisty i wątpliwy jak środki, które służą do jego realizacji. Bohaterowie uruchamiają bowiem błędne koło dyktatury kreatywności: chcąc wyrwać się z rutyny, nieustannie w nią popadają. Symbolem tych zachowań staje się bazar na Namyśłowskiej, na którym Bartek i Dorota co sobotę wypatrują staroci albo nietypowych rzeczy. Weekendowe snucie się powoli wchodzi im w krew, a wytargowane trofea (jak plastikowa figurka Maryi z Lourdes) wynagradzają tydzień pracy i urozmaicają życie, mniej więcej tak jak Netflix i kieliszek prosecco.

„SAŁATKA Z CEBULI”

Może właśnie nuda i brak cech charakterystycznych, tak barwnie i pomysłowo opisane, bo skrywające się za kolejnymi bon motami, stolikami z IKE-i, tatuażami i różowymi włosami, przygotowują na prawdziwą konfrontację z praską rzeczywistością blokowisk i zamieszkujących je lokatorów.

Pierwsze spotkanie z sąsiadami nie należy do udanych. Gizmo rzuca się na yorka Nikotynkę. Jej właściciele to niezbyt życzliwi ludzie,

właściwie osiedlowa „patologia”, sportretowana dość jednoznacznie i stereotypowo. Pani Mama Rafała jest w komitywie z panią Anną, ustalającą zasady obowiązujące we wspólnocie mieszkaniowej. Rafał z kolei, po odsiadce w więzieniu, spędza czas na piciu piwa, braniu narkotyków i sianiu postrachu w pobliskich sklepach. (Jak zauważa narrator: dzisiejsi zmeneleni dresiarze to prawdopodobnie wczorajsze dzieci śmieci). Napięcie między bohaterami z klasy kreatywnej a mieszkańcami praskich blokowisk gęstnieje po kolejnych awanturach, w jakie wdają się psy. Ponieważ jednak konsekwencje awantur zazwyczaj ponoszą tutaj psi właściciele, powieść od pewnego momentu zaczyna zmierzać w stronę kryminału.

Bolesław Chromy subtelnie pod warstwą satyry przemycy smutek dzisiejszych czasów. Gdzieś w tle majaczy pytanie o jakość życia, jego wartość, cel i formę. A także wątpliwość, czy to, co robią bohaterowie, jest naprawdę tym, czego oczekiwali.

3

WALDEMAR KULIGOWSKI

DZIENNICZEK Z DNI ZARAZY (III)

1 KWIETNIA, ŚRODA

Ostatni papierowy numer tygodnika „Wprost”: „Jako jedni z pierwszych w Polsce wydawców oferujemy produkty z zerowym śladem emisji węglowej. Nie drukując kolejnych milionów stron tygodnika, wspólnie oszczędzimy las o powierzchni boiska do piłki nożnej. Jedno boisko w tygodniu! Powiedzmy papierowej prasie »do widzenia«!».

Zakażonym rodzicom urodziło się niezarażone dziecko.

5 KWIETNIA, NIEDZIELA

486 spamów w ciągu doby.

„Nasz świat stoi w obliczu wspólnego wroga: COVID-19. Wirus nie dba o narodowość ani pochodzenie etniczne, frakcję ani wyznanie. Bezlitośnie atakuje wszystkich. Tymczasem na całym świecie trwają konflikty zbrojne. Najbardziej zagrożeni – kobiety, dzieci, osoby niepełnosprawne, marginalizowane i wysiedleni – płacą najwyższą cenę. Są również najbardziej narażeni na niszczycielskie straty z powodu COVID-19. Nie zapominajmy, że w krajach spustoszonych wojną systemy opieki zdrowotnej przestały istnieć. Dlatego wzywam do natychmiastowego globalnego zawieszenia broni we wszystkich częściach świata” – António Guterres, sekretarz generalny ONZ.

6 KWIETNIA, PONIEDZIAŁEK

Rzeźki poranek, śpiew ptaków. Gołębie na tarasie chcą zbudować gniazdo.

7 KWIETNIA, WTOREK

O 13.00 ludzie na balkonach i w oknach biją brawo. Przegapiłem informację.

– Ludzi nie widać wcale, wszędzie tylko sarny – opowiada kolega spod Krakowa. – Jak na filmie science fiction.

8 KWIETNIA, ŚRODA

– Miałem wczoraj kilka spotkań służbowych w formie wideokonferencji, w tym jedno wieloosobowe – opowiada znajomy z Warszawy. – Przygotowywałem się do nich jak do zdarzeń realnych. Ogoliłem się, ubrałem jak do wyjścia, nawet trochę ogarnąłem nieopuszczane od tygodni mieszkanie.

Na balkonie przy Wierzbicicach biały plakat z sercem: „Dziękujemy wszystkim pomagającym”.

Na środku parku wygrzewa się wielkie stado gołębi.

Wieczorem palacze na schodach przed domami.

9 KWIETNIA, CZWARTEK

Rząd wprowadza kolejne obostrzenia: szkoły i uczelnie zamknięte do 26 kwietnia, granice do 3 maja, za tydzień maseczki będą obowiązkowe w miejscach publicznych.

11 KWIETNIA, SOBOTA

Mijam pierwsze osoby w maseczkach i rękawiczkach. Tylko kobiety.

Koszyk ze „święconką 2020” w sieci: rolka papieru toaletowego, butelka spirytusu, paczka makaronu, para foliowych rękawiczek.

W kościele pięć osób. Jedna w maseczce i z różańcem w dłoniach modli się półgłosem.

Bar Byczyn proponuje Wegańską Wielkanoc na wynos: żurek, gzik słonecznikowy, śledzie z boczniaków, pasztet, chałka, sernik, makowiec, pasta bezjajeczna, sojonez.

15 KWIETNIA, ŚRODA

– Są, są – mówi sprzedawczyni z Żabki, którą pytam o maseczki, bo widzę przed sklepem dostawę. – Ale muszę najpierw rozładować paletę i policzyć, ile mam – wydmuchuje dym z papierosa. – Niech pan przyjdzie za dwie godziny.

– Nie mogę teraz panu sprzedać, to czas dla seniorów – odpowiada, gdy wracam o umówionym czasie.

– Jeszcze nie rozpakowałam – oznajmia po kolejnych dwóch godzinach. Wygląda, że to towar ścisłego „zarachowania”.

– Fryzjerzy je szyją – informuje sprzedawczyni w sklepie fryzjerskim, gdzie maseczki kupuję bez problemu. – Oni żyją z dnia na dzień, naprawdę nie mają pieniędzy.

Na ulicach dużo ludzi. Zniknęły samochody nadające komunikaty o przepisach pandemicznych.

16 KWIETNIA, CZWARTEK

Poprawianie, naciąganie – pierwszy dzień w obowiązkowych maseczkach.

Ci w szalikach zasłaniają twarze nonszalancko. Dziewczyna namalowała na białej maseczce usta i oczy. Nie widziałem palaczy; ciekawe, jak radzą sobie w tej sytuacji. Mnie zaparowały okulary (przeciwsłoneczne), a po godzinie miałem na twarzy saunę.

17 KWIETNIA, PIĄTEK

Widziałem palaczy: maseczki zsuwają pod brodę.

„Jak to we współczesnym świecie więcej nas dzieli, niż łączy. Ale jest jedna wspólna sprawa: piszemy na łamy naszych gazet, piszemy po to, aby świat był lepszy i bardziej zrozumiały. Bez czytelnika nasza praca nie ma żadnego sensu. Pomóżmy sobie. Czytajcie prasę papierową i online” – apelują redaktorzy naczelni dzienników i tygodników.

Na targowisku szparagi.

18 KWIETNIA, SOBOTA

Na trawnikach wysyp mleczy.

– Ludziom żyło się tak dobrze, wielu ludziom – wzdycha sprzedawczyni w sklepie rybnym. – A co teraz będzie?

Chłopak, zamiast maseczką, owinął twarz biało-niebieskim szalikiem Lecha Poznań.

19 KWIETNIA, NIEDZIELA

„*Stay strong Poznan... things will get better soon!*” – obiecuje billboard przy ulicy Królowej Jadwigi.

Ogłoszenie w oknie Żabki: „Drodzy klienci, maseczki z pierwszej dostawy zostały wyprzedane. W ciągu kilku dni oczekujemy następnej”.

– Ja pierę teraz tylko dresy i piżamy, nic innego – opowiadają sobie koleżanki. – Bo albo jesteśmy w łóżku, albo ходzimy po domu.

ZOFIA NIERODZIŃSKA

**PRACA KRYZYSOWA,
CZYLI KTO TNIE SZPARAGI
W CZASIE PANDEMII**

[Tekst ukazał się 21 kwietnia 2020 roku równoległe w „CzasieKultury.pl” oraz w wersji niemieckiej – zatytułowanej *Spargelstechen in der Pandemie* – na stronie magazynu „Analyse&Kritik”.]

Przed dziewięcioma laty, po ukończeniu studiów artystycznych w Polsce, które wyposażyły mnie w zasoby symboliczne, nieprzekładalne na te ekonomiczne, postanowiłam wyjechać do Berlina, aby w mieście, które kojarzyłam z rozwibrowaną sceną klubową, poszanowaniem praw mniejszości i najlepszą uliczną kuchnią, rozpocząć swoje dorosłe życie. Byłam przekonana, że Unia Europejska i otwarte granice to najlepsze, co udało się osiągnąć pokoleniu moich rodziców zaangażowanemu w ruch „Solidarności” lat 80. Wolność oznaczała dla mnie możliwość wyjazdu z wolnej Polski, o którą walczyli, a której zaściankowa, katolicko-patriarchalna mentalność, jak wtedy mi się wydawało, była nie do pogodzenia z moimi życiowymi planami.

Po dwóch latach intensywnego kursu językowego i kilku dorywczych pracach, które pozwalały mi na przeżycie, dostałam się na studia podyplomowe na UdK, berlińskim Uniwersytecie Sztuk Pięknych. Dorabiałam, pracując jako kelnerka w jednej z niemieckich firm cateringowych za najniższą krajową, która wtedy wynosiła 8,50 euro. Z kolei od końca marca do czerwca pracowałam razem z innymi studentami i studentkami z całego świata w Spargelhof, plantacji szparagów w Beclitz pod Berlinem. Tam poznałam Wandę, Renatę i Ewę, które od lat przyjeżdżały do podberlińskiego miasteczka jako pracownice sezonowe. Zarabiały 3,50 euro na godzinę po odliczeniu kosztów zamieszkania (w wieloosobowych kontenerach) i wyżywienia. Kilogram szparagów kosztował wtedy około 9 euro. Wanda, Renata i Ewa przyjeżdżały do Beclitz od lat, z tej samej miejscowości położonej w górach na południu Polski, często również z najstarszymi dziećmi. Mówiły, że w sezonie są

w stanie zarobić tyle, że starcza im to na prawie pół roku życia w Polsce. Mówiły, że praca jest ciężka, ale również cenią sobie ten czas z dala od rodziny i mężów. Kobiety pracowały w halach produkcyjnych i w kuchni. Nazywano je „Tanten”, „ciotkami”, ze względu na ich wiek, a może również zażyłość, trudno powiedzieć. Podczas pracy w Spargelhof zaskoczył mnie sztywny i jakby oczywisty podział pracy na polsko-rumuńską produkcję (wykopywanie, sortowanie, mycie i obieranie szparagów) i niemiecki zarząd. To, czego doświadczałam na co dzień na uczelni, było spełnieniem polityki multikulti, tutaj czułam się tak, jakbym cofnęła się w czasie do realiów z początku XX wieku, gdzie przynależność narodowa determinowała pozycję społeczną. Niewidzialna praca w halach produkcyjnych i na polach wykonywana była przez Polaków i Rumunów, serwis przez studentów z firmy cateringowej, widzialna konsumpcja w restauracji przypadała Niemcom. Wejście Polski do UE oznaczało dla mnie możliwość studiowania za granicą, dla Wandy, Ewy i Renaty możliwość zarobkowania, dla właścicieli Spargelhof czerpanie profitów z naszej niskopłatnej pracy. Zrozumiałam, że to, czym Berlin jest dla mnie w sferze symbolicznej, nie pokrywa się z rzeczywistością materialną moją oraz kilku tysięcy niskopłatnych pracowników sezonowych przyjeżdżających do Niemiec każdego roku.

NIEWIDZIALNA PRACA, CZYLI DLACZEGO NIE DA SIĘ POGODZIĆ

ZACHOWANIA „BEZPIECZEŃSTWA ŻYWIENIOWEGO”

Z BEZPIECZEŃSTWEM PRACOWNIKÓW SEZONOWYCH

W czasie kryzysu zdrowotnego prace według logiki kapitalistycznej określane jako „reprodukcyjne” oraz te najemne stały się ważne i widoczne. Media, a za ich sprawą większość społeczeństwa, zaczęły dostrzegać istotność zawodów związanych ze zdrowiem i opieką, w tym tą nad osobami starszymi i niesamodzielnymi, osób pracujących w supermarketach, kierowców ciężarówek, osób sprzątających oraz pracowników sezonowych. Można to zaobserwować na całym kapitalistycznym świecie, również w Berlinie, gdzie zastał mnie lockdown i skąd aktualnie pracuję zdalnie, korzystając z uprzejmości znajomej. Mam zatem okazję przyglądać się „od środka” niemieckiej debacie dotyczącej tak zwanej *systemrelevante Arbeit*, czyli prac istotnych systemowo. W czasach

kryzysu okazuje się, że zajęcia i zawody związane z opieką, transportem i zapewnieniem „bezpieczeństwa żywieniowego” są również jedynymi, które nie mogą zostać zawieszane, gdyż bez nich społeczeństwa nie byłyby w stanie funkcjonować. W głównym, wieczornym serwisie informacyjnym „Tageschau” zaczęły pojawiać się sylwetki „bohaterów codzienności”.

Opowiadają oni o swoim zaangażowaniu na rzecz społeczeństwa w czasie kryzysu. Niemieckie media symbolicznie starają się nadrobić lata zaniedbań neoliberalnej polityki degradującej wartość niewidzialnej pracy, która wykonywana jest najczęściej bezpłatnie lub za najniższą krajową przez kobiety i migrantów. Z tym nagłym symbolicznym docenieniem niewidzialnej pracy wiązałam nadzieje: że doprowadzi ona również do społecznej i materialnej zmiany w sytuacji pracowników usług i opiekunek, że zostaną postawione pytania o to, co oznaczają nierówności pomiędzy pracą uznawaną za kreatywną (najczęściej lepiej płatną i symbolicznie docenianą) a fizyczną (tańszą, symbolicznie degradowaną), pomiędzy zmienną wartością siły roboczej ze względu na płeć, kolor skóry, narodowość i status, do jakich nadużyć prowadzą te różnice i co właściwie oznacza europejska solidarność, gdy praca polskiego lub rumuńskiego pracownika jest cztery razy tańsza niż niemieckiego?

Szansą wydawała mi się także wymuszona pandemią decyzja niemieckiego rządu o rezygnacji z przyjazdu pracowników sezonowych i opiekunek osób starszych z krajów Wschodniej Europy. Miałam nadzieję, że pokaże ona *Arbeitskraft* („siłę roboczą”) w nowym świetle: jako ludzi mających rodziny, o które się troszczą; że będzie dowodem, że ich zdrowie liczy się tak samo jak innych obywateli Europy. Wizja pozostania niemieckich szparagów w ziemi przeważała jednak względy humanitarne. Po krótkim zamknięciu granic niemiecki rząd ogłosił, że zmienia swoje rozporządzenie. Pracownicy sezonowi mogą wjechać na terytorium Niemiec, a najlepiej – przylecieć. Podczas pracy mają zachować półtorametrowe odstępstwa i otrzymać oddzielne zakwaterowanie w maksymalnie dwuosobowych pokojach, z wyłączeniem osób spokrewnionych. Muszą mieć dostęp do środków dezynfekcji oraz ochrony osobistej, takich jak maseczki i rękawiczki. Co więcej: przez pierwsze dwa tygodnie od przyjazdu pracownicy mają przebywać na tak zwanej pracującej kwarantannie. Oznacza to, że nie mogą opuszczać terenu

należącego do właściciela, a wszelkie niezbędne do przycięcia produkty mają być im dostarczane przez pracodawców. Pracownicy sezonowi do tej pory pokrywali koszty związane z ich pracą i pobytem w Niemczech z własnej kieszeni, to znaczy odliczane one były z ich minimalnej stawki godzinowej. Czy teraz również sami zapłacą za swoje bezpieczeństwo? Zapewne nie będzie trudno ich do tego skłonić, gdyż bezrobocie w Polsce rośnie z dnia na dzień i według umiarkowanych prognoz polityków do końca roku ma sięgnąć 10 procent.

Biorąc pod uwagę warunki lokalowe w Spargelhof, gdzie niegdyś pracowałam, nie wydaje mi się, aby standardy *social distancing* były możliwe do zachowania. Powstają również nowe pytania i problemy związane bezpośrednio z pandemią, na przykład możliwość wzięcia płatnego zwolnienia w przypadku, gdy u pracownika występuje podejrzenie zakażenia koronawirusem. Do tej pory pracownicy sezonowi podlegali ubezpieczeniu zdrowotnemu płaconemu w kraju, z którego pochodzą. Czy narodowe instytucje będą ze sobą w tej kwestii współpracować? Czy pracodawca wypłaci pracownikowi wypracowaną kwotę, mimo że nie będzie on w stanie pozostać do końca sezonu? Co w wypadku kwarantanny? Czy pracownik będzie musiał dopłacić za miejsce odosobnienia? Co w sytuacji, kiedy pracownik ze względu na stan zdrowia zechce wrócić do swojej rodziny, czy pracodawca zorganizuje i pokryje koszty jego transportu? Kto ponosi odpowiedzialność w wypadku śmierci pracownika?

Na te pytania nie odpowiada dokument regulujący pracę sezonową w czasie kryzysu zdrowotnego, opublikowany przez ministrę rolnictwa Julię Klöckner i ministra spraw wewnętrznych Horsta Seehofera. Powstał on w odpowiedzi na protesty rolników, którzy negatywnie odnieśli się do rządowego projektu werbowania do pracy na polach wolontariuszy, bezrobotnych, studentów oraz osób starających się o azyl w Niemczech bez gwarancji, że praca przy zbiorach go im zapewni. Przez rządowy portal internetowy zgłosiło się około 40 tysięcy osób chętnych do pomocy, jednak właściciele ziemscy nie byli w stanie sobie wyobrazić współpracy z rodakami, którzy pewnie nie zgodziliby się tak łatwo na wykańczającą pracę po dziesięć-dwanaście godzin dziennie łącznie z weekendami i świętami, bez względu na warunki pogodowe oraz na odciąganie kosztów transportu, wyżywienia i zakwaterowania (o ile byłoby konieczne) od minimalnej pensji, którą otrzymują.

FÜR EINE RUMÄNISCHE ODER EINE POLNISCHEKRAFT BRAUCHE ICH FÜNF DEUTSCHE

Właściciel ziemski uprawiający szparagi, Thomas Syring, w wywiadzie dla agencji informacyjnej AFP (Agence France-Presse) powiedział: „To ciężka praca, jest zimno, ciągle na zewnątrz. Na miejsce jednego Polaka czy Rumuna potrzebowalibyśmy pięciu Niemców”.

To pozornie oczywiste i powszechnie akceptowane stwierdzenie, że Polacy i Rumuni mogą pracować więcej za mniej, może skłaniać do jeszcze niebezpieczniejszej konstatacji, że jako siła robocza ze Wschodu są bardziej odporni na pandemię. Wystawianie na niebezpieczeństwo życia i zdrowia pracowników sezonowych kosztem zachowania niskich cen szparagów może jednak prowadzić do późniejszych problemów z trawieniem. Ludzkie życie jest cenniejsze niż szparagi, dlatego zachowanie taniego „bezpieczeństwa żywieniowego” w Niemczech kosztem wyzysku pracowników z biedniejszych krajów trudno pogodzić z poczuciem sprawiedliwości.

Doświadczenie studiów oraz późniejsze realia rynku pracy spowodowały, że zaczęłam postrzegać Niemcy i UE w bardziej krytyczny sposób. Do kraju wolności, sztuki, równych szans dla wszystkich, czyli tego, co było dla mnie widoczne jako studentki mieszkającej w Polsce, musiałam dodać również wzrost gospodarczy oparty na niskopłatnej pracy tych, którzy ze względu na słabszą znajomość języka i uwarunkowania społeczno-ekonomiczne byli wykorzystywani zgodnie z logiką akumulacji kapitału. Jako Polka na rynku pracy czułam się automatycznie przypisywana do wykonywania najprostszych prac, tak jakbym była do tego urodzona. W Polsce podobnie muszą się czuć migranci z Ukrainy czy Białorusi. Jest to zatem problem systemowy, który w każdym kraju ma swój lokalny koloryt.

Oczywiście odpowiedzią na to rozczarowanie Europą nie jest zamknięcie się w granicach państw narodowych – wręcz przeciwnie, zniesienie kapitalistyczno-patriarchalnej przemocy i niesprawiedliwości możliwe jest tylko dzięki solidarności ze wszystkimi strukturalnie wykluczonymi. Dlatego tak ważne jest, aby osoby o lewicowej wrażliwości dostrzegły istotność działań na rzecz pracowników sezonowych, a dopominanie się o poszanowanie ich godności i praw w czasie kryzysu

stało się częścią wspólnej walki. Odpuszczenie jej w tym wypadku nie-
sie przedsmak wyzysku, który nastąpi po ustaniu restrykcji (lockdow-
nu), które już teraz najboleśniej uderzają w najsłabszych.

Specjalne podziękowania dla Maximiliana Czarneckiego,
Judith Geffert i Jacka Zwierzyńskiego za konsultacje merytoryczne.

ALEKSANDRA SKOWROŃSKA

UKŁADY PRZETRVALNICZE

[Tekst ukazał się w „CzasieKultury.pl” 22 maja 2020.]

Ten tekst powstaje w tymczasowej rzeczywistości i splecionej przestrzeni. Trochę z warsztatu, schronienia i laboratorium. Filie dwóch uniwersytetów, instytucji kultury, pracownia freelancerska i biuro obsługi klienta berlińskiej firmy z branży e-handlu. „*Guten Tag, wie kann ich Ihnen helfen?*” przeplata się z pytaniami studentów. Akompaniują temu sygnały kolejnych maili od współpracowników na wpół uwięzionych, na wpół chronionych przez pobyt w czasoprzestrzennym limbo pracy w domu i mieszkania w pracy. Wszystko na pięćdziesięciu metrach kwadratowych – splecione, wytwarzające nowe, jednocześnie niewygodne i niezbędne relacje: układy przetrwalnicze na czas zamknięcia, sprawdzające stabilność relacji wytworzonych jeszcze przed lockdownem.

Nowej (starej-nowej) rzeczywistości mogłyby razem ze mną przyglądać się dwie postaci sportretowane przez fotografkę Adę Zielińską na plakacie programowym Pawilonu – jedynym obecnie towarzyszącym mi materialnym świadectwie tego, że w przestrzeni wytwarzania kultury istniała jakaś przeszłość, w dodatku przeszłość pozaekranowa, nietransmitowana, zakotwiczona w konkretnym miejscu i czasie. Mogłyby, ale ich uwagę przykuwa coś znacznie ciekawszego – one same, a raczej ich wizerunek uchwycony na ekranie telefonu wykonującego *selfie*. Dwójka białych mężczyzn w okolicach czterdziestki umiejscowionych w centralnej części plakatu przypatruje się z jowialnym uśmiechem doprawionym miłym zaskoczeniem swojemu odbiciu, podczas gdy w tle płomienie symulowanej katastrofy trawią to, co zostało z karoserii autobusów warszawskiego ZTM. Zahipnotyzowani własnym widokiem, beztrwosko przyglądają się i biernie uczestniczą w katastrofie, której nie da się zatrzymać. To niby tylko kolejna wersja mitu o Narcyzie – mitu ożywionego przed

kilkoma dekadami przez Marshalla McLuhana wskazującego na niebezpieczeństwo zatracenia się we własnym, zmediatyzowanym wizerunku. Całkiem trafny to opis wydarzeń ostatnich tygodni – mamroczę do siebie z braku rozmówcy, czując na wpół zakłopotanie i niewygodną satysfakcję z trafnie postawionej diagnozy. Nie po raz pierwszy instytucja kultury stała się miejscem, które za pomocą sztuki, kodów wizualnych i wyborów kuratorskich komentuje rzeczywistość, prognozując możliwe scenariusze przyszłości; chociaż w momencie projektowania identyfikacji wizualnej i programu większą uwagę przykuwały zmiany klimatu – których postępowania światowa kwarantanna nie jest w stanie zatrzymać.

Zdjęcie Ady Zielińskiej ze zbioru *My dad was a firefighter* miało towarzyszyć rozpoczęciu nowego sezonu Pawilonu, któremu w tym roku towarzyszy hasło programowe „Nowe życie”: hasło-propozycja przyjrzenia się życiu poddawanym ciągłym zmianom – tak jak pisała o tym Catherine Malabou, filozofka posługująca się w swoich rozważaniach kategorią plastyczności. Wracam teraz myślami do marcowej konferencji prasowej, na której w kilku skondensowanych zdaniach prezentowałam definicję Nowego Życia rozumianego według założeń Pawilonu: nie jako nowy początek, ale moment rozpoczęcia przekształceń; nieuchronna modyfikacja tego, co znamy, w to, co dopiero nadchodzi i co pozostaje obecnie tajemnicą. Słowa sprzed półtora miesiąca upiornie pobrzmiwiają dziś w pamięci – i wywołują cierpką satysfakcję – bo przecież planując program na nadchodzące miesiące, udało nam się w Zespole Pawilonu zdiagnozować i wyczuć problemy, które zdefiniują nadchodzącą przyszłość. Odarcie metafory z jej poetyckiego potencjału i zwrócenie wobec banalnej rzeczywistości zawsze zaskakuje. Tym bardziej jeśli rozwinięcie hasła jeszcze dobitniej podkreśla jego aktualność. Pisaliśmy z Andrzejem Pakułą tak:

Nie będzie ani rewolucji ani ewolucji: tegoroczny program Pawilonu stanie się platformą przyglądania się i badania procesów przekształcania i wytwarzania „Nowego życia” w znaczeniu nowych form wspólnotowości, relacji ze środowiskiem oraz przestrzenią: od skali mikro (lokalnej) do makro (planetarnej).

Chcielibyśmy wykonać pierwszy z wielu kroków w stronę przechwytywania języka kształtującego myślenie o nowości, przyszłości, rozwoju: języka kapitału i zbędnego wytwórstwa. „Nowe życie” jest antytezą „nowego produktu”.

Jednocześnie próbujemy wypracowywać nowy model instytucji kultury, odpowiadając na pytanie o rolę, jaką instytucja powinna przyjąć w ciągle zmieniającym się świecie. „Nowe życie” instytucji to przyjęcie aktywnej roli w mówieniu o świecie i nazywaniu go poprzez wytwarzanie przestrzeni dla wydarzeń, które nie mieszczą się nigdzie indziej. Zwracamy przy tym szczególną uwagę na tzw. niewidzialną pracę: zadajemy pytania o to, w jaki sposób produkować wydarzenia demokratyczne w demokratyczny sposób.

Podczas tegorocznych wydarzeń programowych zadamy sobie pytania o to, w jaki sposób myśleć o nowym życiu w obliczu pojawiającej się na horyzoncie katastrofy: afektywnej, cywilizacyjnej, wojennej, politycznej, klimatycznej. Czym jest nowe życie queer – wobec jakiej, obecnie kształtującej się normatywności się ustosunkowuje? Jaką rolę w kształtowaniu nowego życia odgrywają wspólnoty: te tradycyjne i te dopiero się formujące?

Miejsce kultury samą narracją wizualną w postaci plakatu wiszącego dziś w nieczynnych lub znacznie ograniczających swoją działalność miejscach oraz ogólnymi wskazaniem nie jest w stanie współuczestniczyć w próbie opowiedzenia i zrozumienia sytuacji, z którą się mierzymy. Rozumienie i opowiadanie aktualnej rzeczywistości, snucie narracji o tym, co wydarza się teraz, jest jednym z kluczowych zadań instytucji kultury. Podobne zdanie zdaje się podzielać między innymi Biennale Warszawa, prezentująca obecnie zbiór tekstów poświęconych tematyce okołopandemicznej: związanych z nekro- i biopolitykami, sytuacjami kryzysowymi i kapitalizmem. Zmiany w programie i formule zaplanowanego na kwiecień festiwalu zauważyć można też między innymi przy festiwalu STRP, gdzie zaproszeni pierwotnie do rozmów i wykładów goście (wśród nich np. Timothy Morton, Alice Gorman czy duet Non-human Nonsense) zostali poproszeni o stworzenie esejów przyglądających się tematowi wirusa i pandemii z bliskich im perspektyw. Gestem kuratorskim z obecną sytuacją gra WRO Center włączające do dyskusji nad aktualną sytuacją medialne i technologiczne praktyki artystyczne – na specjalnej stronie za pomocą wybranych performatywnych projektów artystycznych opowiada o kategoriach najbardziej zainfekowanych przez COVID-19. Zaczyna od przestrzeni: jej postrzeganie i doświadczenie przebywania w niej radykalnie zmieniły się od pierwszego dnia kwarantanny i do tej pory wywołują znaczne kontrowersje. Następnie

kieruje się ku ciału (mediatyzowanemu) i afektom, by podążyć w stronę tematów mniej zainfekowanych przez doświadczenie kwarantanny: miasta, maszyny, dźwięku. Wobec ograniczeń kwarantanny bierne nie pozostało HAU, które festiwalowy program *Spy on Me #2* (dotyczący w założeniu relacji pomiędzy tym, co technologiczne i środowiskowe oraz polityczne) przeniosło na YouTube, w tekście promocyjnym zwracając przy tym uwagę, że zapowiadany, wyczuwalny i wyczekiwany zwrot cyfrowy w definiowaniu przestrzeni publicznej i demokracji odbywa się właśnie teraz. Na czas pandemicznego zamknięcia przypadł też termin otwarcia wystawy *Wiek półcienia. Sztuka w czasach planetarnej zmiany* w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Przestrzeń wystawienniczą zastąpił kuratorski blog dokumentujący pracę nad wystawą składającą się z prac artystycznych, które podejmują temat zmian planetarnych, *zarządzania nieodwracalnym*, nowych form solidarności, budowania wspólnot i empatii powstałych w obliczu kryzysu klimatycznego. Brzmi niepokojąco aktualnie, prawda? Jedną ze wspólnot tymczasowych powstała wokół kanału założonego na czas muzealnej kwarantanny, na którym kuratorzy poszerzają konteksty zagadnień poruszonych w przestrzeni zawieszonych w czasie wystawy, traktującej przecież także o zmianach, jakie wynikają z powszechnej mobilności, czy radykalnie zwiększającej się dynamice konsumpcji. Tymczasowe przeniesienie wystawy w przestrzeń bloga splata się też, być może w wyniku zbiegu okoliczności, ze spostrzeżeniami zawartymi w tekście kuratorskim, który wskazuje, że świat sztuki - z muzeami i rytuałami organizowania rzeczy i idei - nie jest wyjątkiem („na martwej planecie nie będzie muzeów!”, parafrazując hasło Młodzieżowego Strajku Klimatycznego) i wymaga głębokich przemian systemowych. Czy całkowite przeniesienie spotkania z pracami zaproszonych do wystawy artystów do sieci nie byłoby wyrazem takiej głębokiej przemiany?

Imperatyw przemiany instytucji, w tym instytucji kultury, to konieczność. Zwracają na to uwagę między innymi Aleksandra Jach, Ewa Chomicka, Iza Kaszyńska i Aleksandra Janus, twórczynie grupy roboczej Muzea dla Klimatu - nieformalnej inicjatywy i cyklu spotkań poświęconego wyzwaniom stojącym przed instytucjami kultury wobec zmian klimatycznych i skutków pandemii COVID-19. O tym, że nie ma powrotu do form działalności sprzed pandemii, zaczęliśmy rozmawiać w Zespo-

le Pawilonu niemal w pierwszych dniach pandemicznego zamknięcia. W ten sposób wypracowaliśmy realizowany początkowo z tygodnia na tydzień program na czas kwarantanny, który nie polegałby jedynie na wielkim otwarciu archiwów – a byłby programem performatywnym stworzonym w odpowiedzi na aktualne zmiany, angażującym głównie lokalnych twórców i włączającym się w dyskusję o terażniejszości. A tym samym – wytwarzającym ją. Szczególnie ważny był pierwszy, zrealizowany jeszcze w marcu w pośpiechu i poczuciu eksperymentowania wykład Bartosza Mroczkowskiego. Podczas „Nowego życia: Epidemia jako zmiana” staraliśmy się zaproponować perspektywę quasi-badawczą, to znaczy taką, dzięki której moglibyśmy się przyjrzeć sobie jak obiektom uczestniczącym w eksperymencie na skalę planetarną nie za pomocą statystyk, krzykliwych nagłówków i kolejnych rozporządzeń, ale teorii afektów w wersji *light* – dostępnej, inkluzywnej, użytecznej. Zakładając, że każdy tryb przekształceń stanowi powiązanie różnych przepływów afektów, zadaliśmy pytania między innymi o skutki długotrwałego przebywania w izolacji, wytwarzające się nawyki czy wyczulenie na postrzeganie nowych bodźców przez ekstremalne formy higienizacji i utrzymywania higieny: o nowe życie, które zaczyna być widoczne w swoich materialnych przejawach.

Kończąc ten akapit, wcieram w ręce kolejną dawkę kremu nawilżającego, który ma poradzić sobie z nabytym od (zbyt?) częstego mycia rąk wysuszeniem skóry.

Zaczynamy właśnie piąty tydzień zamknięcia. Równolegle do pracy nad stabilizującym się programem online zastanawiamy się nad przyszłością, mnożąc możliwe scenariusze przyszłości – każdy z nich jest tak samo, demokratycznie nieprawdopodobny. Przygotowujemy się do przyszłości-tajemnicy, jakby zakodowane w tradycji wigilijnej wyczekiwanie rozlało się z grudniowego wieczora na całą wiosnę.

Tymczasem nieoczekiwaną karierę robi nowe-stare (a jakże) słowo: prognoza. Wytwarzamy więc tymczasową wiedzę o przyszłości, a narzędziami do pisania kolejnych scenariuszy są aktualizowane z tygodnia na tydzień tabelki z topniejącymi kwotami (znaczną część programu

Pawilonu finansowana jest z najmu przestrzeni), krzykliwe nagłówki i wykresy z liczbami zachorowań – wykresy wyjątkowe, niemal totemiczne, wyposażające bardziej niż w wiedzę – w afekty. Czyli, o ironio, właśnie te zjawiska, od których program dyskursywny Pawilonu stara się odwracać. Kompromis poznawczy zjawiska pandemii i jej wpływu na kulturę wytwarza się gdzieś pomiędzy dwoma polami: niestabilnymi tabelkami, zmaganiem się z ministerialnym serwerem (czy istnieje instytucja kultury, która NIE złożyła wniosku do programu „Kultura w sieci”?) a refleksją z pola filozofii, antropologii i sztuki.

A te refleksje, chociaż wytwarzają się wciąż i na nowo jak tabelki ze złowieszczo topniejącymi kwotami, ponownie kierują moją uwagę w stronę płonących autobusów ze zdjęcia Ady Zielińskiej – metafory zmian nie do odwrócenia i przeszłości nie do odzyskania. Nowe życie to nie nowy początek ani nowa normalność, mimo że pragnienie wytworzenia zaktualizowanej normatywności po epidemii wydaje się niektórym instancjom kwestią priorytetową. Bardziej priorytetową niż stworzenie (także przy wykorzystaniu możliwości, jakie daje wytwarzanie i zapraszanie do współuczestniczenia w kulturze) takiej rzeczywistości, która choć niestała i chybocząca się, wyposażałaby nas w umiejętność dostosowywania się i akceptacji zmiennych warunków sprawowanych nie tylko przez ludzkie podmioty – sam wirus i planeta mają wiele do powiedzenia. Pośród wielu nieweryfikowalnych scenariuszy przyszłości najmocniej dzisiaj wierzę w ten, w którym w opozycji do krytycznej adaptacji i wysiłku ciągłej negocjacji znajdują się jedynie strach, bierna konsumpcja i resentment kapitalizmu.

Ten tekst powstaje w jednej z kilkunastu otwartych kart przeglądarki, a każda z nich pracuje na rzecz prokrastynacji względem działań rozpoczętych w innych zakładkach. W jednej z nich znajduje się archiwum materiałów promocyjnych przygotowanych na nadchodzący rok. Jednym z kolejnych zdjęć, które miało widnieć na plakatach programowych, jest fotografia Zielińskiej z serii *Disaster cruisin*, na której na banerze zawieszonym na siatce odgradzającej patrzącego od niezdefiniowanej, odległej przestrzeni widnieje napis THANKS TO ALL WHO FOUGHT

THE FIRES. Chciałabym, żeby to zdjęcie i podziękowanie skierowane do wszystkich, którzy walczyli z chorobą, samotnością, niestabilną sytuacją ekonomiczną, zmęczeniem i strachem, jako pierwsze pojawiło się w przestrzeni publicznej na materiałach Pawilonu niezależnie od tego, czy będą to plakaty informujące o wznowionym programie, zin z tekstami kuratorów i zaprzyjaźnionych artystów i artystek lub pandemiczne diariusze wizualne (zmiana sposobów i celowości komunikacji instytucji kultury z odbiorcami też powinna podlegać negocjacom). Najważniejsze to skierować wzrok ku niezdefiniowanej jeszcze przyszłości, która wytwarza się teraz w mikro- i makronarracjach nadających kształt obecnemu momentowi przekształceń.

AGNIESZKA BUDNIK

**POZNAŃSKA NAGRODA LITERACKA
TAŃCZY NA GROBACH!!!****[SPRAWDŹ ↓]**

Ceremoniał przyznawania nagród możemy w zasadzie odtworzyć z pamięci. Przedbiegi, czyli długa lista nominowanych; zawężenie pola walki, czyli ścisły top notowań, media myślą komentatorstwo sportowe z krytycznoliterackim opisem; a w końcu gala: dygnięcia, uśmiechy, uściski dłoni. I, Szanowni Państwo, werble, Grażyna Torbicka (lub jej budżetowy odpowiednik) napięta jak struna orzeka: talon na balon (przedział kwot różnoraki, dobrze widziane pięciocyfrowki, sześćto- to już rozpuszta, siedmio- oskarżenia o korszachy z niepolskimi nacjami) za książkę roku / gatunku / hit sprzedaży. Uścisk raz jeszcze, przemówienia o zaskoczeniu, ukłon, zdjęcie - i do domu / na bankiet. Do widzenia, widzimy się za rok.

TO TYLKO TYLE?

Oczywiście, że nie. Ten telegraficzny skrót wyjaskrawia praktykę rytuału, który jest tylko elementem maszyny świadczenia uznania literaturze, a także wyróżniania jej autorów. Dobrze, jeżeli nagroda nie ogranicza się do przelewu zawrotnej kwoty na konto kandydata i/lub wręczenia, zazwyczaj kontrowersyjnej estetycznie, statuetki (wymienne: dyplom w za dużej ramie, z którą nie wiadomo, co zrobić w PKP), ale chce coś konstruktywnego o dziele powiedzieć. Za dobre nagradzać, złe przemileczać. Miejmy jasność: oglądamy tylko to, co jest nam udostępnione; kryteria, wyznaczniki i interesy fundatorów pozostają najczęściej poza polem widzenia.

NA PEWNO?

Oczywiście nie. Jednak żeby zdekonstruować obraz i zamiary (nie zawsze niczne zupełnie), trzeba zabawić się w detektywa. Należałoby postawić parę pytań sprawdzających: kto wyróżnienie przyznaje? Dlaczego to robi? Jaką wizję literatury chce nagrodzić, a więc – kanonizować? Czy chce wykorzystać nagrodzonego autora dla własnej promocji?

Sięgnijmy po studium przypadku: Poznańską Nagrodę Literacką. Skąd się wzięła? Dlaczego rozpycha się ramionami tam, gdzie monopol ma Nagroda Literacka Nike i rosnąca w siłę Nagroda Literacka Gdynia? Najważniejszy zdaje się tu gest założycielski, który często blaknie w przypadku innych wyróżnień. Poznańska Nagroda Literacka powstała na metaforycznym cmentarzu. Nie wyrosła jednak na spiszowym pomniku twórcy z poprzedniego stulecia, o którym pamięta się raczej z nawyku i kulturowej przyzwoitości, ale z reakcji na informację o śmierci poety bliskiego (niegdyś obecnością) instytucji założycielskiej. Patronem młodej, przyznawanej od 2015 roku nagrody został Stanisław Barańczak. Jak zaznaczał Piotr Śliwiński, przewodniczący kapituły: „co ważne, decyzja nie zapadła przy biurku, w wyniku kalkulacji i targów, w nadziei zbitcia jakiegoś medialnego kapitału, lecz z tak zwanego porwy serca, pod wpływem straty, która nagle okazała się trudna do przemilczenia”.

W 2015 roku rozpoczęła się więc gra o pamięć. I chociaż inicjatywa wyszła ze strony uniwersytetu, na którym wykładał Barańczak, właściwie natychmiastowo doszło do sojuszu na linii uniwersytet – miasto. Formy upamiętniania postaci wybitnych często pozostawiają niedosyt – zamieniają się w skostniały i pusty rytuał, który trzeba wypełniać i powtarzać: bo wypada, bo trzeba, bo wielkim poetą był. Wszelkiego rodzaju memoriały bardzo rzadko w naszej kulturze łączą się z radością lub odczuwaniem wdzięczności za pozostawiony dorobek, podziękowaniem za kawał porządnej roboty, którą można nie tylko zamrozić w podręcznikach, ale nad nią dyskutować, często zażarcie i polemicznie. Bo idiom Barańczaka był i jest ważny dla poetek i poetów, także tych debiutujących. Czuli na rzeczywistość, celny, ale też ironiczny, kąśliwy i butny. Ukłasycznianie autora, który wobec klasyków nie był czołobitny, ale często miał ich w nosie (na co mógł sobie pozwolić, znając ich twórczość wzdłuż i wszerz rzecz jasna), to tworzenie golema.

Unikalność Poznańskiej Nagrody Literackiej tkwi w jej potencjale. Poznańska Nagroda Literacka jest wyróżnieniem dwudzielnym. Obok nagrody-stypendium dla młodych twórców, której patronem stał się najzupełniej naturalnie właśnie Stanisław Barańczak, mamy też nagrodę imienia Adama Mickiewicza za całokształt twórczości, w uznaniu za wieloletnie dokonania. W tym rozdzieleniu jest jednak metoda: nagroda przeznaczona tylko dla twórców o mniejszym dorobku mogłaby zostać domyślnie zaklasyfikowana pod etykietą „za debiut lub niedługo po nim”, jej funkcja opiniotwórczego wyróżnienia działałaby jedynie w wąskim gronie zainteresowanych (czyli właściwie nie działałaby wcale). A nie o to przecież chodzi, nie to przyświecało Poznańskiej Nagrodzie Literackiej.

Inną, bardzo ważną funkcją wyróżnień literackich jest ich zdolność do legitymizacji – optując za danym autorem czy autorką, nagroda daje mu lub jej mocne karty w grze z polem nie tylko literackim. Laureat dostaje coś na kształt złotego paszportu albo pierwszeństwa boardingu: priorytet w prasie, wydawnictwie, w kanałach opiniotwórczych, czasem w reklamie, staje się reprezentantem literatury w dyskusji z innymi dziedzinami.

Na potencjał nagrody składa się również infrastruktura, która za nią stoi. W przypadku Poznańskiej Nagrody Literackiej mamy do czynienia z przymierzem interesującym, bo niekomercyjnym. To z uniwersytetu i dziedzin pokrewnych biorą się specjaliści: akademicy, dziennikarze, pisarze i pisarki, którzy stali się kolegiąlnym gremium jurorskim. Akademia jest częściowym fundatorem wspomnianych dwóch wyróżnień. Drugą częścią ductu pozostaje miasto Poznań, którego UAM jest przecież częścią. Dzięki temu partnerstwu stolica Wielkopolski dołączyła do grona miast, które nagrody przyznają, udowadniając pośrednio, że literatura jest niezbywalnym elementem polityki kulturalnej i szerzej: ważną częścią społecznej komunikacji, ćwiczeniem z wrażliwości i wyobraźni.

Poznańska Nagroda Literacka udowadnia, że ścisły sojusz na linii miasto – uczelnia jest zaskakująco wręcz korzystny dla każdej ze stron. To też wcale niezły pomysł na wykorzystanie sposobu, w jaki działalność uniwersytetu może przekładać się na życie społeczne i kulturalne. A w końcu: to zamiana emocji żalobnych na próbę ukucia wspólnej tożsamości, tym razem opartej nie na smutku i żalu, ale na dbałości o wspólną przestrzeń, w której na co dzień się poruszamy.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI

A GDYBY NAGRÓD LITERACKICH NIE BYŁO?

Czy nagrody są potrzebne? Od kiedy istnieją (a w dzisiejszej postaci istnieją w Europie od przełomu XIX i XX wieku) ożywiają życie literackie. Publiczność czeka, emocjonuje się werdyktem, debatuje nad zwycięskimi książkami. Nagrodzeni czują się usatysfakcjonowani, a pominięci przystępują do pisania dzieł, które pozwolą im konkurować w następnej edycji. Gremia kontestujące daną nagrodę przystępują do działań na rzecz stworzenia nagrody konkurencyjnej. Skrót ten prowadzi do prostego wniosku: nagrody są potrzebne do istnienia nagród. Koło jest zamknięte, tyle że kręci się coraz szybciej.

Wstępnie w ten sposób sygnalizuję, że im większa medialna potęga nagród, im większy splendor, który przypada laureatowi, tym podejrzliwiej należy im się przyglądać. Nagrody przynoszą bowiem trzy skutki odwrotne od zamierzonych. Po pierwsze, nagroda powinna wyróżniać jakieś dzieło literackie spośród szerszego zbioru, ale aby to mogła uczynić, musi równocześnie zatrzeć różnice między dziełami, które do tego zbioru należą (nagrada dla najwybitniejszej książki danego roku stawia obok siebie – a więc odróżnicowuje – kilkaset utworów napisanych w bardzo różnych poetykach). Po drugie, nagroda umieszcza jakieś dzieło ponad innymi po to, aby powiedzieć, że pozostałe dzieła były niewiele gorsze – jednakże wbrew temu nagroda mówi, że liczy się tylko dzieło zwycięskie. I wreszcie po trzecie, nagroda zaświadcza ma o społecznym uznaniu dla danego dzieła za to, co ono wnosi do naszego życia, ale w istocie nagroda mówi, że w literaturze nie chodzi o owe wartości, lecz o zwyciężanie; nagroda przekonuje, że istotą literatury nie jest wprawianie w ruch języka, lecz konkurowanie.

Im wyraźniej jednak krytykuję nagrody, tym pełniej uświadamiam sobie, że nie tak łatwo wymyślić świat bez nich. Na prawach eksperymentu - zaryzykuję.

Na pierwszy rzut myśli - nic prostszego. Po prostu jest sobie społeczeństwo, które ich nie potrzebuje. Ale to oznacza, że w tym społeczeństwie w ogóle nie istnieją żadne formy wyróżnienia: Bóg nie powiedział temu światu „I to było dobre”, rodzice nie chwalą dzieci, nauczyciel nie stawia wyróżniających ocen najlepszym uczniom, przełożony nie wyróżnia najlepszego pracownika. Miejsca pracy są obsadzone drogą losowania, bo wybór najlepszego spośród wielu kandydatów jest formą wyróżnienia... Nie ma wyborów politycznych, a nawet wyborów konsumpcyjnych: jest jeden jogurt, jeden typ samochodu osobowego, jeden fason butów. Jeśli bowiem nie ma nagród literackich, to znaczy, że nie ma w tym społeczeństwie w ogóle żadnego konkurowania. Jest to społeczeństwo chłodne, nie wyróżniające nikogo i niczego w żadnej dziedzinie. Jest to również społeczeństwo z konieczności niezróżnicowane - jako że różnica budzi konkurencję, a konkurowanie wymusza formy wyróżnień.

Czy takie społeczeństwo wykształciłoby literaturę? Chyba nie. A przynajmniej nie w takiej formie, jaką znamy z dzisiejszego życia. Bo literatura rodzi się ze zróżnicowanych sposobów użycia języka. Różnice pociągają za sobą konflikty, a te prowadzą do przewagi jednych nad drugimi. A dalej - do działań premiujących jedne formy ponad innymi. A zatem społeczeństwo bez nagród byłoby prawdopodobnie społeczeństwem, w którym każde dzieło literackie witane jest z taką samą obojętnością: chłodno czytane, chłodno komentowane, odkładane na półkę. Nie ma żadnego kanonu, klasyki, zbioru arcydzieł. Tworzenie dzieł temperaturą nie różni się od dłubania wykałaczką w zębach, a czytanie wygląda jak liczenie ziaren piasku na pustyni. Skrupulatnie, ale obojętnie.

Teraz spróbuję odwrócić wyjściowe założenia. Wyobraźmy sobie społeczeństwo z rozbudowanym, namiętym, gorącym i gwałtownym życiem literackim, ale bez nagród. Społeczność ta nie potrzebuje żadnej zachęty, żadnej stymulacji, żadnej wiadomości o uroczystym wręczaniu, by czytać. Ludzie należący do tej społeczności interesują się piśmiennictwem, szukają samodzielnie informacji, chodzą do księgarń, wybierają, a potem gadają o tym, co przeczytali, spierają się, emocjonują...

Tak żywe życie literackie prowadzi do różnic w zdaniach, do sporów, konfliktów. A te z kolei muszą prowadzić do pochwał i krytyk. Czyli do nagród. Przybierają one jednak – tak próbuję to sobie wyobrazić – zupełnie inne formy: jakaś grupa funduje pisarzowi roczny pobyt w swojej miejscowości; bogaty człowiek ofiarowuje pisarzowi samochód; społeczność miasta nadaje ulicy imię jakiejś postaci literackiej; firma oferuje karnet na basen; filharmonia postanawia uhonorować tomik poczty parafrazą symfoniczną.

Jeśli zatem nagrody w tym społeczeństwie nie powstają, przynajmniej nie w takim kształcie, jaki znamy z nowoczesnego życia literackiego, to dlatego, że społeczeństwo to znalazło inne formy uznania, inne narzędzia budowania prestiżu. Ale to oznacza, że przyznaje ono nagrody w innej postaci, konkurując na innych polach o inne stawki. Czyli nagrody nie istnieją, ale jakby istniały... Co więcej, można przypuszczać, że namiętności życia literackiego w szybkim tempie doprowadzą do wyłonienia się nagród, które zdominują wszystkie pozostałe. Przeciw nim powstaną inne, kontestatorskie, odwołujące się do innych kryteriów. Społeczeństwo z żywym życiem literackim wytwarzającym odmienne formy nagradzania bardzo szybko stałoby się społeczeństwem z taką samą ich wielością, jaką znamy z dzisiejszego życia.

Jeśli w pierwszym społeczeństwie (zimnym) nieobecność nagród oznaczała nieistnienie życia literackiego, to w drugim istnienie życia literackiego implikuje nieuchronność pojawienia się nagród literackich. Pomyślmy więc trzecią zbiorowość.

Jej członkowie tak bardzo cenią literaturę i jej zróżnicowanie, że fundują nagrody za wszystko. Kiedy ukazuje się książka łącząca ścisłość rozprawy naukowej z pięknym stylem, natychmiast tworzą nagrodę dla „Rozpraw naukowych łączących ścisłość z pięknym stylem”. Kiedy ukazuje się reportaż oparty na zmyślonych wydarzeniach, ustanawiają nagrodę dla „Reportażu opartego na zmyślonych wydarzeniach”. Nagrody pojawiają się i znikają, są zawieszane i odwieszane, ale nie przemija bez lauru. To jednak oznacza, że choć nagrody istnieją, to jakby nie istniały. Bo skoro każdy i każda jakiegoś wyróżnienia się doczeka, to żaden laur nie jest wiarygodny.

A zatem problem pierwszej wizji polega na tym, że wyobrażone społeczeństwo musiałoby istnieć poza nowoczesnością, poza kapitalizmem,

może nawet poza piśmiennością. Druga wizja w gruncie rzeczy niczym nie różni się od terażniejszości, a jedynie wyjaśnia, że terażniejsze życie literackie zdominowane przez nagrody powstało w rezultacie przyspieszającego w XX wieku procesu wymiany uznania społecznego na nagrody literackie. Z kolei wizja trzecia przedstawia społeczność, która w warunkach hiperinflacji emituje nowe pieniądze; członkowie tej zbiorowości byliby świadomi, że za ich banknoty niczego nie da się kupić, a zarazem nie przestawaliby puszczać ich w obieg... Mówią jeszcze inaczej: w pierwszym wyobrażeniu nie ma nagród, bo nie ma życia literackiego, w drugim inne formy uznania prowadzą do narodzin zwyczajowych nagród literackich, w trzecim zaś zasada sprawiedliwości wytwarza nagrody nicistotne.

Zacząłem więc od wizji życia literackiego bez nagród, a kończę na Leibnizu - stwierdzając, że znane nam życie literackie jest najlepsze z możliwych. Nie dlatego jest najlepsze, że przysługuje mu jakaś obiektywna wartość nadrzędna, lecz dlatego, że prowadzą do niego wszystkie antropologiczne fabuły. Mówią one, że gdzie istnieje więcej niż jeden człowiek, tam pojawia się współpraca i konkurencja, a gdzie istnieje konkurencja, musi powstać jakaś forma uznania dla lepszego. Kain zabił Abła właśnie dlatego, że nie mógł doczekać się pochwały od Jahwe. Z drugiej strony Atena pomogła Achajom zniszczyć Troję za to, że Parys przyznał nagrodę „Dla najpiękniejszej” Afrodycie. Lepiej więc ustanawiać nagrody i je przyznawać, ale nie traktować ich jako wyroków ostatecznych. Nagrody są bowiem takimi właśnie pustymi banknotami (abstrahując od ewentualnej nagrody finansowej), które zyskują wartość dopiero w procesach wymiany. Nagroda - by sparafrazować koncepcję francuskiego socjologa Pierre'a Bourdieu - jest wypłacana w walucie prestiżu, a prestiż ma tylko taką wartość, jaka wynika z możliwości osiągnięcia dzięki niemu czegoś innego: społecznego rozgłosu, autorytetu, wpływu.

Jak w tym kontekście przedstawia się polskie życie literackie i nasze rodzime pole nagród? Chyba przeciętnie. Nie jesteśmy społeczeństwem, które potrafiłoby bez nagród cenić literaturę, i nie jesteśmy społeczeństwem, które z racji nagród szczególnie literaturą się emocjonuje.

Nie umiem określić liczby nagród. Jest ich nie mniej niż kilkaset, może nawet tysiąc, bo przecież laury przyznają koła literackie, miasta, uniwersytety, media, ministerstwo... Z pewnością jednak liczących się wyróżnień jest około dziesięciu: Angelus, Gdynia, Gryfia, Kościelcy, Mackiewicz, Nike, Paszporty „Polityki”, Wielki Kaliber, Zajdel, PNL... Co to jednak znaczy „licząca się” nagroda? Sądzę, że jest to laur, który obdziela pisarza/ pisarkę uznaniem większym niż inne nagrody. O tym, skąd bierze się prestiż, była mowa przed chwilą, teraz więc spróbuje zarysować walkę o uznanie toczoną przez polskie nagrody.

Hegemonem polskiego życia literackiego od momentu powstania (1997) do początku następnej dekady była nagroda Nike. Jej pozycję zachwiała nagroda Mackiewicza: przyznana po raz pierwszy w 2002 uszczupliła nieco kapitał symboliczny Nike, ponieważ przekonała część czytelników, że Nike jest nagrodą środowiskową. Odpowiedzią na to było przyznanie Nike Rymkiewiczowi (za tom poetycki *Zachód słońca w Milanówku*), co stanowiło dowód, że ani regulamin, ani jury nie są ograniczane względami środowiskowymi czy ideowymi. Nike odzyskała wówczas część prestiżu, ale w tym samym czasie przybyli jej nowi konkurenci – wrocławski Angelus i Silesius oraz Nagroda Literacka Gdynia. Zwłaszcza Angelusa trzeba odnotować, ponieważ jest to pierwsza ponadnarodowa nagroda literacka przyznawana w Polsce. W działaniu Wrocławia dostrzec można jeden ze sposobów powiększania prestiżu: laureat Angelusa nie jest wybierany spośród pisarzy polskich, lecz środkowoeuropejskich, więc waga nagrody rośnie. W tym kierunku, umiędzynarodowienia, zmierzają liczne nagrody w Europie i na świecie, ponieważ drugie prawidło każdej nagrody literackiej mówi: „Jeśli nie chcesz ścigać się z Noblem, znajdź pole mniejsze od globalnego”.

A jak brzmi pierwsze prawo? Mówi ono: nagroda jest narzędziem walki o autonomiczne ustanawianie wartości. Chodzi więc o to, by przekonać innych, że twoje werdykty są wiarygodne. Znaczy to, że każdy, kto funduje nagrodę literacką, w pewnym sensie uzurpatorsko ogłasza, że potrafi obiektywnie wyznaczyć „najlepszą polską książkę poetycką [danego] roku” albo „najlepszą książkę literacką na świecie”. Uzurpacja polega na tym, że „najlepszości” nie da się wyliczyć, więc na potwierdzenie wiarygodności werdyktu kapituła nagrody ma do swojej dyspozycji zupełnie inne środki, a mianowicie wspaniałe jury, wysoką

nagrodę pieniężną, rozgłos medialny czy obecność prezydenta państwa podczas gali. Mówiąc inaczej: nagroda to skandal aksjologiczny – miara zawieszona w próżni, nabierająca wiarygodności dzięki wszystkiemu, co wokół nagrody można zgromadzić. Większy prestiż wytworzy ten, kto potrafi konkurencyjnych albo nawet konfliktowych (media, politycy, naukowcy) uczestników takiej gry skłonić, by dołożyli swój prestiż.

Opisywany przeze mnie skandal aksjologiczny (stosując określenie nie wartościująco, lecz opisowo) jest dokładnym odzwierciedleniem wszystkich miar wartości w świecie ludzkim. W tym świecie wszystko – Bóg, definicja człowieka, definicja zwierzęcia – jest wytworem człowieka. Przy użyciu miar przez siebie ustanawianych próbujemy określić, czy cena, którą płacimy za książkę albo trud włożony w jej przeczytanie i zrozumienie odpowiadają przyznanej nagrodzie. Inaczej rzecz ujmując: miary potrzebne nam są do tego, by określić, czy wymiany, w których bierzemy udział, były uczciwe, sprawiedliwe, korzystne, czy też raczej średnie bądź niekorzystne. Kiedy jakaś książka otrzymuje Nike, porównujemy ją z wcześniejszymi laureatkami, z książkami, które odpadły, z książkami zwycięskimi w innych konkursach. Albo z naszą prywatną listą arcydzieł. Ale nie ma żadnego obiektywnego wzorca, żadnego metra w Sèvres, który pozwoliłby to potwierdzić.

Mimo to o nagrody należy się spierać – i to do upadłego, zaciekle, zajadle. Dlaczego? Bo skoro są one celebracjami w świecie ludzkim, to mogą być inne. Przypadek polskiego życia literackiego dość dobrze pokazuje, na przykład, że kapitał symboliczny nagród literackich odpowiada strukturze klasowej społeczeństwa. Wszystkie wymienione przeze mnie laury z wyjątkiem „Zajdla” i nagrody Wielkiego Kalibru odzwierciedlają, jak sądzę, pewną prawidłowość: są one mianowicie wytworem inteligencji, która chciałaby resztę społeczeństwa namówić do aspirowania ku klasie wyższej. Klasa wyższa składa się bowiem z ludzi, którzy potrafią samodzielnie orzekać o wartości bądź braku wartości każdego wytworu kultury, dzięki czemu mogą w kulturze uczestniczyć samodzielnie. Kłopot pierwszy polega na tym, że samodzielność tak osiągnięta, bardzo istotna dla aspiracji kulturowych całego społeczeństwa, a nawet dla powszechnie chwalonej innowacyjności, nie zapewnia w Polsce dostatecznego prestiżu. Dlatego w pierwszej połowie lat 90. nagrody literackie fundowały niepaństwowe media i osoby prywatne, a w drugiej

połowie tamtej dekady wszystko to poznikało. Wytworzył się wówczas niedobry podział na ludzi, którzy mogą inwestować w kulturę, ale nie widzą w tym prestiżowego zysku, oraz ludzi, którzy widzą ów zysk, ale nie mają czego inwestować. Mówiąc inaczej: biznesmani początkowo łożyli na kulturę, a potem się z tego wycofali, ponieważ stwierdzili, że w ten sposób kapitału symbolicznego nie zbudują. W Polsce, co brzmi dziwnie, wszyscy – od góry do dołu – nie przestają zapewniać się nawzajem o znaczeniu dziedzictwa i zarazem nikt nie kwapi się z wyrazami uznania dla biznesmana, który ufundował stypendium dla licealisty czy studenta.

Wynika to z kłopotu drugiego. Polega on na tym, że zbyt wiele mechanizmów kulturowych działa w Polsce na rzecz obniżania kompetencji kulturowej. Zwłaszcza politycy prześcigają się w zapewnieniach, że jesteśmy wspaniali dokładnie tacy, jacy jesteśmy i że powinniśmy wyzbyć się tych umiejętności kulturowych zdobytych w kontakcie z modernizmem i postmodernizmem. Wytwarza to „koniec historii” zupełnie inny niż przewidział Fukuyama. Ten koniec należy nazwać regresem. W takich warunkach nagroda literacka konkuruje nie tyle z innymi nagrodami, ile właśnie z sarmacko-romantycznym programem tożsamości. Bo skoro przykład idzie z góry, to mówi on: można dotrzeć do wysokich pozycji w państwie polskim bez czytania, bez uzupełniania wiedzy, bez podwyższania kompetencji. Kiedy Barack Obama jako prezydent jechał na dziesięciodniowe wakacje, zabierał ze sobą osiem (!) książek (w naszym kraju byłaby to porcja całego klubu sejmowego niejednej partii...). Nie jest ważne, czy to prawda, czy nie. Ważne, że prezydent USA uważa, że istotnym elementem komunikacji społecznej jest literatura. Nawet jeśli splota trybut społecznej hierarchii ważności, to splota owa pracuje na wysoką rangę piśmiennictwa w społeczeństwie amerykańskim. Tymczasem u nas „autorytety” zatrzymują społeczeństwo na ich aktualnym poziomie albo nawet cofają w przeszłość. Mówią: kultura skomplikowana to oszustwo albo niepotrzebne wymysły, więc pozostawcie przy prostych komunikatach. W ten sposób zachęta do samodzielności płynąca z istnienia nagród literackich zderza się z zachętą do skrajnego uzależnienia – bo przecież nieumiejętność samodzielnego czytania to zależność od rozmaitych autorytetów, które ogłaszają obowiązującą wykładnię rzeczywistości. Z tego dziwnego

pojedyńku między sugerowaniem, że stawką w grze literackiej jest kulturowa samodzielność, oraz przekonywaniem, że można pozostać w dzisiejszym świecie „prostym ludem”, wynika pozycja nagród literackich. Stwarzane przez inteligentów po większej części trafiają do inteligentów. Nie zostaje więc uruchomiona wymiana doświadczeń, kodów, lektur i systemów wartościowania. Ruch ku komplikacji zostaje zatrzymany.

I wreszcie kłopot trzeci. Ten sposób uruchamiania „gry w samodzielność” sam w sobie również pozostawia wiele do życzenia, jako że zachowuje liczne elementy hierarchiczne: kreatorzy nagród celebryją sami siebie, protekcyjnie traktują ludzi z niższą kompetencją, obrażają się, gdy „lud” nie garnie się do rekomendowanych lektur. Hierarchizm dobrze współpracuje również z kulturą patriarchalną, która uważa, że kobiety mogą naprawdę wejść do kultury wyłącznie wtedy, gdy zostaną zarekomendowane przez męskie grono. Nike przyznano już dwadzieścia cztery razy, ale tylko sześć nagród przypadło (pięciu) pisarkom. „Mackiewicz” przyznawany jest od 2002 roku, ale laureatki były tylko dwie – w dodatku pierwsza do spółki z drugim autorem¹. Podobne dysproporcje odnajdziemy w Paszportach „Polityki” czy nagrodzie Kościelskich. Co ciekawe, aspekt ten równie silnie działa w nagrodach z sektora popularnego – na przykład w „Zajdlu” czy Wielkim Kalibrze. Całkiem długo przecież trwało, zanim którąś z tych nagród dostała autorka, choć trudno byłoby stwierdzić, w czym pisarze byli lepsi.

Co zatem robić? Upierać się przy tym, że zróżnicowanie literatury (również genderowe), a także właściwa jej złożoność – nieprzewidywalność, niepoprawność, przedstawianie świata z cudzego punktu widzenia, dopuszczanie do głosu języków niepełnych – są wartością. Literatura rodzi się ze zdziwienia językiem – z zachwyty i przerażenia tym, co język potrafi. Tekst, niosąc w sobie niezliczone ślady dzieł wcześniejszych, włącza się w aktualną dla siebie komunikację. Ingeruje w nią, bo mówi coś ważnego, ale także, bo odślania granice komunikacji: podłoże mowy, szanse porozumienia, potencje językowego konfliktu, odkrywczność metafor, zdradliwość frazesów... Literatura nie domaga się nagród. Otrzymuje je, ponieważ ożywia komunikację społeczną.

1

Tekst nie zdążył uwzględnić werdyktów roku 2020 – przyp. red.

Dlatego prawdziwą nagrodą dla literatury jest społeczeństwo, które uważniej nawzajem się słucha. Książki stanowią bowiem wyzwanie dla umiejętności komunikacyjnych. Bez tych umiejętności społeczeństwo utrwała w sobie obojętność. I jest to, żeby nie ulegało wątpliwości, obojętność również na sprawy podstawowe.

4

WALDEMAR KULIGOWSKI

DZIENNICZEK Z DNI ZARAŻY (IV)

20 KWIETNIA, PONIEDZIAŁEK

Można wchodzić do lasów i parków.

Kolorowa tęcza z hasłem „Będzie dobrze” na drzwiach wielorodzinnego domu.

- Zastanawiam się, jakby się czuł w kwarantannie Stachura w tym swoim mieszkanku na Rębkowskiej w Warszawie - mówi kolega z Torunia. - Chyba by zwariował.

21 KWIETNIA, WTOREK

Mejl od znajomej z Warszawy: „[...] Uścisk bezdotykowy”.

„Poszukiwany” - głosi plakat na stacji diagnostycznej z podobizną wirusa w koronie. „Za złapanie wirusa 2 tygodnie w domu”.

22 KWIETNIA, ŚRODA

Poszukiwany: trzyczęściowy strój plażowy.

Carrefour, zakupy z dłońmi w workach foliowych. W ofercie: „Okazja! Do każdego opakowania kiwi oraz cytryn jest dołączona maseczka ochronna”.

Wierszyk z internetu: „Siekiera, motyka, oczy, wory / Nie ma testów, nie ma chorych” (portret ministra zdrowia) [...].

23 KWIETNIA, CZWARTEK

- Nie mogę patrzeć na ludzi bez twarzy, to jest bardzo dziwne
- tłumaczy sąsiad aktor. - Jak tylko się da, wyjadę stąd na dwa miesiące na Mazury, mam tam łódkę.

Wizyta u stomatologa. Najpierw ankieta z nagłówkiem „wywiad epidemiologiczny” i pytania o kontakt z „osobami z obszarów zagrożonych”, „osobami z COVID-19”, „poddanymi kwarantannie” oraz o to, czy mam „gorączkę, kaszel, katar, zapalenie spojówek lub trudności w oddychaniu/nudności”. Dalej pytania, czy „w dniu dzisiejszym” przyjmowałem leki zawierające paracetamol, ibuprofen, kwas acetylosalicylowy (w sumie ponad sto pozycji).
- Gabinet jest ozonowany - słyszę, leżąc na fotelu. - Miałam dwa tygodnie zamknięte, zanim wreszcie poszyli fartuchy za kolana i zakrywające dłonie. A ludzi zęby boją... I każdy przychodzi z inną teorią spiskową. Usługa podrożała.

- Chyba muszę ubrać koszulę i marynarkę - zastanawia się kuzyn akademik. - Zawsze chodziłem na obrony dyplomów tak ubrany. Jutro mam pierwszą obronę zdalną, to chyba też muszę założyć?

24 KWIETNIA, PIĄTEK

- Mam szczerą ochotę wyrwać wtyczkę od komputera - mówi kolega z redakcji. - Już dość spektakli, koncertów, filmów... Zamiast tego wolę po prostu zrobić sobie kawę. No i mnóstwo przychodzi mejli od poetów i poetek. Kwarantanna sprzyja grafomanii.

26 KWIETNIA, NIEDZIELA

W grupie „Koronawirus - obserwacje społeczne, miejskie i mobilnościowe” (533 członków) rozmowa o „kryzysowych strategiach zakupowych” i spadku sprzedaży alkoholu. Jeden z komentarzy: „Siermiężne chłanie w domu na dłuższą metę odpada. Alkohol jednak lubi towarzystwo”.

27 KWIETNIA, PONIEDZIAŁEK

„Płyny, maseczki, rękawiczki, żele” - reklamowy refren w witrynach sklepów.

Uniwersytet odwołał wszystkie tegoroczne absolutoria.

28 KWIETNIA, WTOREK

Czarną farbą na ulicy Ratajczaka: „Orzeł w koronie, Polska w dupie!”.

- Ja już nie robię żadnych planów na przyszłość. Żadnych. Zostały mi tylko papierosy - mówi przez Skype'a znajoma aktorka i wypuszcza chmurę dymu.

29 KWIETNIA, ŚRODA

- Przepraszam, nie mam maseczki - tłumaczy się sąsiad na korytarzu i zasłania usta zgiętym przedramieniem. Nowy savoir-vivre.

Ogłoszenie na Facebooku: „PRACO!!! Wiem, że mnie szukasz, więc oto jestem! Matko pokory i szlachetności, przybywaj! Jestem do dyspozycji!”. Na fotografii młody mężczyzna z zawieszoną na szyi tabliczką „Wanted”.

W wieczornym tramwaju połowa pasażerów bez maseczek.

30 KWIETNIA, CZWARTEK

Rano na targowisku wszyscy w maseczkach.

COETZEE

ŚMIERĆ JEZUSA



znak

WALDEMAR RAPIOR

LUKA W TKANCE SPOŁECZNEJ

[Fragment recenzji *Śmierć jest realna* poświęconej książce

J.M. Coetzeeo *Śmierć Jezusa*, Znak 2020.

Tekst ukazał się w „CzasieKultury.pl” 10 kwietnia 2020.]

Coetzee proponuje [...] strategię albo praktykę – odpowiadającą na pytanie: co robić, aby moralno-dydaktyczne prawdy nie ześlizgnęły się w banał, własne przeciwieństwo, zapomnienie. Tą strategią jest połączenie zwykłej historii rodzinnej z aluzjami i odniesieniami, które służą do tego, aby proste prawdy międzyludzkie nie stały się przedmiotem kpin lub instrumentalnego użycia.

Weźmy więc jedną taką powieściową prawdę: „nie umieramy tak samo”. Co to znaczy? W *Śmierci Jezusa* pielęgniarka na powtarzające się ponaglenia Simóna, by ta podała mu przyczyny śmierci Davida, odpowiada: „To jest szpital, *señor*. To, co się stało, zdarza się tutaj każdego dnia. Bolejemy nad tym. Ale pański syn nie jest wyjątkiem”. Tak działa szpital, tak musi działać szpital. Większość Europejczyków umiera w szpitalach (na szczęście na nasze szpitale nie spadają bomby). Powszechna służba zdrowia w wielu krajach europejskich jest symbolem społeczeństwa – łączy wszystkich ludzi, każdy z nas korzysta z niej prędzej czy później. A jednocześnie stan publicznej służby zdrowia, zaniedbywany przez systemowe rozwiązania, obnaża wady i przyspiesza kryzys samego systemu. Jest to widoczne zwłaszcza dziś, gdy zmagamy się z epidemią.

Trylogia Coetzeeo przeprowadza bohaterów przez instytucje łączące ludzi w społeczeństwo: Simón korzysta z pomocy opieki społecznej („jego dochody wzrosły dzięki rencie z tytułu urazu kręgosłupa”); David trafia najpierw do szkoły, potem do akademii tańca, następnie ucieka od Inés i Simóna (rodzina) do sierocińca, aż w końcu łąduje w szpitalu. Społeczeństwo w powieści Coetzeeo obok instytucji tworzą więzi międzyludzkie (i międzycatunkowe), zwłaszcza te opar-

te na wzajemności (Simón zaprzyjaźnia się ze sztauceraami w *Dzieciństwie Jezusa*; w *Latach chłopięcych Jezusa* rodzina otrzymuje pomoc ze strony trzech starszych kobiet mających niewielką posiadłość; David zaprzyjaźnia się z Bolíivarem – psem Inés). Gdy ktoś umiera, więzi zostają przetrwane i rozpoczyna się praca nad ich sklejeniem lub zrywaniem do końca.

Śmierć jest realna, bo pruje tkankę rzeczywistości społecznej. Ciężarówki przewożące ciała zmarłych na COVID-19 w Bergamo przerażają nie dlatego, że wojsko musi wspomóc cywilów w walce z chorobą, ale dlatego, że w każdej trumnie spoczywa osoba, która jest częścią świata społecznego, a teraz nawet jej ciało zostało z niego wyrwane. Smutek, jaki wywołuje *Śmierć Jezusa*, można traktować jak efekt trików literackich, skutek rzemieślniczej pracy pisarskiej, ale wywołuje go prawdopodobnie dlatego, że zawiera się w owych chwytach bezpośrednio odniesienie do rzeczywistości. Smutek wywołuje nie osvajanie albo dochodzenie do zrozumienia śmierci, lecz wskazywanie na lukę w tkance społecznej.

Maciej Zaremba Bielawski
Dom z dwiema wieżami

przełożył
Mariusz Kalinowski

Karakter



EMILIA JĘDROSKOWIAK

**„PO POLSKU
TO TYLKO TRZY SŁOWA”**

[Maciej Zaremba Bielański, *Dom z dwiema wieżami*,
tłum. Mariusz Kalinowski, Karakter 2018]

O, ANANKE!

Tata mówi małemu Maciejowi, że Ananke ma serce z kamienia, że jest losem i koniecznością. Jest tym, co musi się wydarzyć. Chłopiec, który nie jest jeszcze wtedy autorem, wie, że to właśnie ta bogini zostanie patronką jego przeznaczenia. Jednak dopiero dorosły Maciej zrozumie, jak wiele musiało się wydarzyć, by on sam mógł opowiedzieć tę historię. W *Domu z dwiema wieżami* spełnia wewnętrzny imperatyw, by odkryć i pamiętać, poznać i przekazać, zrozumieć i umieć pogodzić się z tym, co niełatwe. To opowieść o przemilczeniach i pominięciach, o historii i tożsamości, prawdzie i bólu, tęsknocie i pustce. Czego brakuje autorowi wspomnień? Jaka pustka może prześladować go od najmłodszych lat? Syn szanowanych lekarzy, wychowywany według wartości szlacheckich, dumny z herbu i pochodzenia. Tożsamość buduje w oparciu o patriotyczne ideały, rycerski etos. Może jeszcze wielu rzeczy nie wie, ale powoli zaczyna rozumieć.

Żeby móc wybrzmieć najpełniej, opowieść Macieja Zaremby Bielańskiego potrzebuje „metafor, które ranią”. *Dom z dwiema wieżami* nie jest bowiem tylko projekcją wspomnień i anegdot z dzieciństwa. To zapis stopniowo rozjaśnianej przeszłości, świadectwo dociekań, domysłów, powidoków, które ponownie widziane dopiero po latach odsłaniają swój sens. Dla autora to indywidualna próba skonfrontowania historii, życiorysów, a także zmierzenia się z własną tożsamością – chłopca, „który nie był nim”, z tym, którym dopiero się stanie.

Kształt rekonstruowanej przez Zarembę Bielawskiego biografii określa cezura wydarzeń Marca '68. Niespodziewane wyznaczenie matki, zdradzające jej pochodzenie, zmienia rzeczywistość siedemnastolatka, a automatyczna zgoda na opuszczenie ojczyzny inicjuje tożsamościową refleksję. Dotychczas rewidujący rodzinną historię z perspektywy własnych wspomnień i intuicji postanawia zbadać przeszłość rodziców, odtworzyć i wyjaśnić zdarzenia, które naznaczyły jego życie, na długo jeszcze zanim się urodził.

RE-BIOGRAFIE

Dom z dwiema wieżami Zaremba Bielawski pisze - jak swoje wcześniejsze książki reportażowe - po szwedzku. Problematyzuje językowe niuanse, zмага się ze znaczeniem i nazywaniem. Tata czy ojciec? Poważny i wymagający. Mama, zawsze opanowana, nieskłonna do nadmiernego okazywania uczuć. By zrozumieć własną rodzinę i własną historię, musi poznać ich osobno. Żeby zrozumieć, kim byli naprawdę, podejmuje próbę rekonstrukcji ich biografii. Śledzi więc życiorysy nie rodziców, lecz osób: Lili i Oskara.

Zaremba Bielawski analogicznie komponuje dwie opowieści, linearnie komplementarne, lecz skrajnie różne. On - Polak, lekarz, wywodzący się ze szlachty. Ona - nie-Polka, ale wychowana w zasymilowanej rodzinie, najlepsza w klasie z polskiego, przecież nie Żydówka. On - syn maszynisty kolei transsyberyjskiej, Ona - córka sędziego. On - jako oficer uwięziony w oflagu, ona zmuszona do ucieczki i ukrywania. Gdy on ogląda sztuki teatralne wystawiane w jenieckim obozie, ona farbując włosy i wraz z matką zmienia wyznaczenie. Gdy później on powraca do ukochanej pracy, ona znów nie dostaje się na studia. On starszy o 30 lat, żonaty, z dwojgiem dzieci. Ona od teraz bez biografii sprzed wojny. Zbudowanie dwóch tak skrajnych portretów pozwala synowi zrozumieć, co, mimo wszystkich różnic, połączyło rodziców i stanowiło istotę ich związku. Matka, która nigdy wcześniej nie zdradziła synowi prawdziwego imienia, nie wspominała, że wypraszano ją z klasy podczas lekcji religii ani nie tłumaczyła, że dziadek Wilhelm pomijał pierwsze imię Izaak, opowiada tę historię tylko raz. Mężczyźnie, któremu los oszczędził prawdziwej tragedii wojny, który gwarantuje jej,

że o nic nie będzie pytał, który obiecuje, że od teraz o przeszłości będą milczeć razem.

Poznanie historii ojca pozwala dorosłemu synowi zrozumieć go oraz mu wybaczyć. Dopiero wtedy obnażone zostają zakamufłowane lęki i słabości Oskara, niejasne dla jego dziecka w przeszłości. Zmierzenie się z biografią matki umożliwia Zarembie Bielawskiemu zaakceptowanie własnej historii, uzupełnienie tożsamościowych luk. Dopiero z perspektywy czasu jest w stanie odczytać niezrozumiałe dla dziecka nieświadomego holokaustowego dziedzictwa sygnały, zachowania i postawy. Rekonstrukcja zagładowych doświadczeń matki oraz przywrócenie jej żydowskiego pochodzenia wymaga od autora odtworzenia drzewa genealogicznego rodziny, o której istnieniu nie miał pojęcia, przedstawienia ich codzienności na tle panoramy Tarnowa czy Krzeszowic. Dopiero wyposażony w taką wiedzę, choć wciąż pełen pytań, jest w stanie wyrozumiale spojrzeć wstecz. Dopiero pogodzony z przeszłością i wyposażony w cierpliwość względem Lili-Izy i Oskara, może spróbować raz jeszcze prześledzić rodzinne losy, pochylić się nad relacją rodziców i dostrzec detale – spojrzenia, gesty, zawahania – nieczytelne i ignorowane w dzieciństwie.

W *Domu z dwiema wieżami* Zaremba Bielawski przywołuje wspomnienia z czasu, gdy rodzice pracowali w kościańskim sanatorium, opisuje przeprowadzkę na poznańską Wildę, początkową niechęć wywołaną szarością robotniczej dzielnicy i problemy z odnalezieniem się wśród łobuzerskiej grupy rówieśników. Wspomina również wypełnione dźwiękami analogowych płyt nastoletnie lata spędzone w Warszawie, znajomości i przyjaźnie, a także zmieniające się relacje z rodzicami. Po latach, dorosły, może skonfrontować wspomniane zdarzenia z ich przyczynami i skutkami – antykomunistycznymi poglądami rodziców, ich dumą i uporem, zmianami nastrojów społecznych w Polsce.

WŁAŚCIWA OPOWIEŚĆ

Nieświadomy swoich korzeni młody Zaremba Bielawski najlepiej czuje się wśród młodzieży żydowskiej. I chociaż przyjmują go do towarzystwa jako goja, on podświadomie czuje ich kulturę lepiej niż oni. W ich zwyczajach i doświadczeniach zazdrośnie odnajduje to, za czym

sam tęskni, to, czego mu brakuje. To właśnie w tym towarzystwie autor toczy pierwsze dyskusje na temat antysemityzmu, które teraz wspomina jako pierwsze wątpliwości i nieporozumienia. W *Domu z dwiema wieżami* Zarembie Bielawskiemu udaje się przedstawić relatywizm i proces kształtowania poglądów oraz ideologicznych odczuć. Nieskoncentrowany na problemie chłopak nie dostrzega narastających niechęci. Dopiero eskalacja nicustannie skrywanego lęku matki i związana z nią decyzja o wyjeździe z Polski ustawia jej syna w centrum wydarzeń i zmusza do zajęcia stanowiska.

Początkowa niechęć do rewidowania utrwalonego wizerunku ojczyzny i poczucie patriotycznego przymusu obrony jej imienia z upływem czasu ustępuje irytacji i rozczarowaniu odrzuceniem przez rodzimę ziemię. Niepewność w formułowaniu oskarżeń i w krytyce wobec antysemitycznych postaw Polaków ustępują utwierdzonemu prawnym upokorzeniem przekonaniu, że niechęć wobec Żydów nie tylko w Polsce istnieje, lecz realizuje się silniej niż gdzie indziej. Marzec '68 to dla Zaremby Bielawskiego nie tylko chwila, w której uświadamia sobie, że nie potrafił odczytać milczenia matki, lecz także moment, w którym oprócz ojczyzny traci bezpieczeństwo gwarantowane przez rodzinę. Już wtedy rozumie, dlaczego matka z Polski wyjechać musi i dlaczego ojciec musi w niej pozostać.

Opowieść mężczyzny, którym musiał stać się syn Lili i Oskara, nie jest typową historią drugiego pokolenia. Chłopiec opisywany przez Zarembę Bielawskiego dzięki milczeniu matki zostaje uchroniony przed postpamięciowym zaprogramowaniem doświadczeń. Niedopowiedzenia mają zabezpieczać dzieci Lili Immerdauer przed lękiem, który mimo hardej pozy jej samej nie opuszcza. Działania te sprawdzają się jednak tylko pozornie, poprzez szczeliny w życiu chłopca wdiera się, niczym odziedziczony afekt, tęsknota za czymś nienazwanym. Rodzice nie dzielą się przeżyciami, jednak ich niewypowiedziana trauma wybrzmiewa w psychice dzieci i rezonuje tak długo, aż uda się ją wysłowić. Udać się może to dopiero, gdy z ust matki padną trzy najistotniejsze w życiu Zaremby Bielawskiego słowa: „Wyjeżdżamy. Jestem Żydówką”.

SIERGIEJ LEBIEDIEW

Dzieci Kronosa

OSKAR CZAPIEWSKI

**TOŻSAMOŚĆ
I POWRÓT**[Sergiej Lebiediew, *Dzieci Kronosa*,

tłum. Grzegorz Szymczak, Wydawnictwo Claroscuro 2019]

Sergieja Lebiediewa od innych pisarzy odróżnia duże doświadczenie uczestniczenia w podróżach geologicznych. Już w wieku czternastu lat rozpoczął eksplorowanie północnej Rosji. To właśnie podczas jednej ze swoich pierwszych ekspedycji trafił na tereny dawnych Gułagów, które od około czterdziestu lat stały nienaruszone. Autor *Dzieci Kronosa* twierdzi, że to właśnie doświadczenie postępowania obozów koncentracyjnych stanowiło dla niego pierwszy bodziec wiodący ku twórczości pisarskiej. Książka Lebiediewa napisana została w sposób znamienity dla badacza geologii – metodą nieustannego drążenia, wnikliwego badania szczegółu oraz starannej rekonstrukcji ogółu.

OPOWIEŚĆ W POWIEŚCI

Sposób, w jaki Lebiediew prowadzi narrację, przypomina nieco konstrukcję matroszki. Zaczynając od XIX wieku, poznajemy dzieci potomków niemieckiego emigranta, wyznawcy i apologety homeopatii. Zanim jednak na dobre zagłębimy się w koleje losów rodziny Schwerdtów, poznajemy opowieść o dzieciństwie głównego bohatera, która prowadzi nas do wspomnień związanych ze społecznością Czapaiewka – niewielkiej prowincji w obwodzie moskiewskim. Przed tym (a właściwie na samym początku powieści) czeka nas jeszcze lektura krótkiego fragmentu prozy, której autorem jest Kiriłł – główny bohater powieści. Piętrowa konstrukcja nie jest to jednak przeszkodą w lekturze. Lebiediew jest pisarzem, który nawet metafizyczne dygresje trzyma w zwartym, sensownym szyku.

Po raz pierwszy z konsekwencjami II wojny światowej bohater *Dzieci Kronosa* spotyka się w dzieciństwie. Są one najbardziej dotkliwe, ponieważ wiążące się z psychicznym piętnem - traumą wynikającą z doświadczeń wojennych oraz jej niustającymi następstwami.

Dla Kiriłła pierwszym przejawem agresji - będącej wynikiem totalitarnej indoktrynacji - jest zabójstwo gąsiora. To prawda, brzmi groteskowo, a jeszcze bardziej, gdy uświadomimy sobie, że były żołnierz ochrzcił go wcześniej niemieckim imieniem Fritz (*Gąsior Fritz* jest rosyjskim tytułem powieści). W ten sposób autor pokazał nam absurdalny wymiar obłędu - były uczestnik bitwy pod Kurskiem w niemalże każdym potrafi dostrzec żołnierza niemieckiej armii. Kiriłł natomiast widzi w nim mściwego oprawcę, pośredni skutek dehumanizującej wojny, a siebie - jako potencjalną ofiarę, co zdecydowanie podkreśla uniwersalność tej relacji.

Narrator zaczyna więc od wspomnienia dzieciństwa, by później (na podstawie archiwalnych dokumentów, rodzinnych pamiątek, memoriałów oraz nagrobków) zrekonstruować przeszłość swoich przodków, niegdyś wysoko usytuowanej, majątnej rodziny o niemieckiej proweniencji, dziś zubożałej, poturbowanej przez wydarzenia historyczne i przede wszystkim - znacznie mniej licznej. To właśnie pochodzenie sprowadza na rodzinę fatum, przez co sprawa tożsamości narodowej staje się kluczowa w *Dzieciach Kronosa*.

POTWORNE POWROTY

Nie bez przyczyny opowieść Kiriłła rozpoczyna się od wspomnienia strachu, obawy przed tym, że ktoś dostrzeże w nim „Niemiażka”, członka Wehrmachtu lub po prostu - wroga. Dla jego przodków była to powszechna i nieunikniona sytuacja, w szczególności podczas dwóch wielkich wojen, przez co niemieckie nazwisko z czasem zaczęło nosić jak ściągający nieszczęście stygmat, doskwierający, tym bardziej że nabywany bezwarunkowo, samoistnie i niezależnie od woli naznaczonego. Bo jak możemy się bronić przed tym, co tak niezbywalne, jak pochodzenie - szczególnie jeśli tkwi ono wpisane w żelazne archiwa NKWD?

W powieści *Lebiediewa* widzimy, jak kwestia niepożądaney, źle postrzeganej narodowości chronicznie wraca, a jej skutki – w zależności od momentu historycznego – zyskują na intensywności. Z biegiem czasu niektórzy członkowie rodziny zaczynają demonizować wszystko to, co może wiązać się z narodem niemieckim. Inni starają się wykorzystać swoje pochodzenie, gdy podczas II wojny światowej pojawia się szansa (a potem próba) szpiegowania na rzecz ZSRR. A jednak wszelkie działania zdają się podszyte jedną, nadrzędną motywacją: chęcią przetrwania – pożądanego zarówno dla siebie, jak i dla najbliższej rodziny. Pobudki ideologiczne okazują się nietrwałe względem rodzinnych więzi.

W akcie zamordowania zwierzęcia Kiriłł widzi zagrożenie. Były sierżant w podeszłym wieku zabija w dniu rocznicy bitwy pod Kurskiem, podczas której został postrzelony. Zabija, ponieważ zwierzę jawi mu się jako majak niemieckiego żołnierza. Samo „majaczenie” nie ma jednak końca. Rosjanie widzą wroga w członkach rodziny Kiriłła znacznie częściej, mimo że sami Schwerdtowie czują się w pełni zasymilowani. Kiriłł, nawet po śmierci Sierżanta, odczuwać będzie niepokój. Zdaje się przeczuwać to, że „przywidzieć” może się nie tylko byłemu żołnierzowi, a rocznica bitwy pod Kurskiem będzie się powtarzać nawet pomimo śmierci wszystkich jej uczestników; być może w innej postaci, doświadczona przez innych ludzi, co uczyni ją jeszcze bardziej kłopotliwą, gdyż tym trudniej będzie ją przewidzieć.

DZIECI CHRONOSA

Choć autor w tytule nawiązuje do greckiego, kosmogonicznego mitu, to warto wykorzystać nieco zwichniętą homonimię i wspomnieć, że potomkowie niemieckiego homeopaty są również dziećmi czasu, naocznymi świadkami rewolucji październikowej, wojny domowej w Rosji, dwóch wielkich wojen, powstania oraz rozwoju reżimu totalitarnego. Te wydarzenia są dla nich obecne nie tylko jako sztafaż historyczny; Schwerdtowie doświadczają ich skutków bezpośrednio, często są ich aktywnymi uczestnikami i starają się w nie ingerować.

Powieść *Lebiediewa* jest oczywiście literacką fikcją, jednak zadziwiająco prawdopodobną. Nie ma w tym przypadku, gdyż w rodzinie autora nie brakuje ofiar stalinowskich represji, a zdarzało się również,

że członkowie rodziny stawali po drugiej stronie barykady. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” z lipca 2019 roku autor przyznaje, że świadomość, iż jego przodkowie byli po stronie ciemionych, dawała mu poczucie moralnego spokoju. Dopiero gdy natrafił na wojenne odznaczenia dziadka, spokój zmienił się w niepokój, a próba pisania o losach ludzi jemu podobnych – pośrednią formą terapii.

Wnikliwość historyczna, nicodparta potrzeba rekonstrukcji przeszłości oraz dążenie do poznania mechanizmów przyczynowo-skutkowych to cechy, które mogą być niezbędne zarówno geologowi, jak i genealogowi. W przypadku Lebidiewa ich spoiwem staje się geopolityka. Właśnie to sprawia, że książki pisarza czyta się przez pryzmat biografii, a dla wielu Rosjan – niekiedy własnej. To właśnie wrażenie „bycia” częścią historii dla wielu otwiera pole do utożsamienia, a dla innych jest okazją do podejmowania prób zrozumienia.

Barbara Sadurska



nisza



MAGDALENA STEFAŃSKA

I TAK SIĘ ZGUBISZ[Barbara Sadurska, *Mapa*, Wydawnictwo Nisza 2019]

Opowiadania w *Mapie* stanowią odrębne części, ale sumują się również we wspólną, większą całość. Książkę z powodzeniem czytać można jako powieść podzieloną na mniejsze części. *Bezsensowność*, *Mapa*, *Rzeźnicki syn*, *Faust*, *Grobowiec*, *Szpital* i *Dworzec* składają się na mapę, po której będziemy jeździć palcem prowadzonym przez autorkę. Mamy więc przed sobą albo powieść w kawałkach, albo tom opowiadań. Możemy dowodzić cech gatunkowych tomu – ale zapewne wystarczy, jeśli pozostanie to kwestią umowy między nami. Jeśli więc umówimy się, że to jednak opowiadania, możemy umówić się też, że jest ich siedem. Potem możemy umówić się, że historii jest czternaście. Nie? W takim razie możemy przyjąć, że to jedna historia, zapętлана i odtwarzana w różnym czasie, w różnych sytuacjach. Oczywiście nie musimy tego rozstrzygać; może nawet nie powinniśmy – nieważne co Sadurska zrobiła *Mapie*, ważne, co *Mapa* robi nam.

W *Bezsensowności* zostajemy przygotowani na to, co będzie się działo na dalszych kartach książki. Niektóre zdania są pourywane, tropy, na które wpadamy, często okazują się prowadzić donikąd, a prowadzona narracja przywodzi na myśl niezbyt płynny montaż klatek filmowych. Nadszarpnięcie spójności w pierwszym tekście przygotowuje na utratę czytelniczej pewności i satysfakcji z kontroli nad historiami (czy historią?) z *Mapy*. Jesteśmy zmuszeni do stałej czujności, bycia w pogotowiu, łączenia faktów i punktów opowieści. Jednak instruktaż z pierwszej części książki okazuje się tak samo nieprzydatny, jak nieprzydatna jest stara mapa z odwróconym światem.

Nieliniowość powieści nie przejawia się wyłącznie w achronologiczności wydarzeń – miesząc tu czasy i bohaterowie, którzy przekazują sobie kolejno pałeczkę w poplątanej sztafecie kilku wieków.

Żebyśmy całkiem się w *Mapie* nie zgubili, dostajemy kilka punktów wspólnych. Namacalne to akwaforta Rembrandta z wizerunkiem Fausta, pochylonego nad (a jakże!) mapą i mapa Fra Mauro – stanowiąca obsesję bohaterów, powód ich upadków, utraty zmysłów i bliskich osób. „Efekty uboczne” podążania za legendarną mapą to pozostałe powtarzalne punkty. Choroba, szpitale, starość i śmierć przeplatają się w powieści razem z mapą Fra Mauro i akwafortą. Te pomosty łączące ze sobą opowiadane historie są często makabryczne – przedmioty przechodzą z rąk do rąk krwawo, chociaż wydaje się, że z upływem lat śmierć staje się „normalniejsza”. Żeby to udowodnić, autorka musiała rozciągnąć jej obraz na kilka wieków i zróżnicować jej przebieg: ostatni bohaterowie będą mogli umrzeć śmiercią naturalną, wcześniejsi ginęli od napełniania odbytu rozgrzany olejem lub obdzierania ze skóry. Ta ostatnia jest istotnym elementem – ze skóry wykonywano pergamin. Korzystano zwykle ze skóry baraniej, cielęcej i koziej, najszlachetniejszy materiał pochodził od nienarodzonych jagniąt. Nie możemy jednak zapominać o okładkach tworzonych ze skóry ludzkiej – to zaś prowadzi nas do ponurych skojarzeń z Zagładą, której widmo (w myśl Baumanowskiej parafrazy) wydaje się krążyć nad historiami z *Mapy* nieustannie.

Obojętnie, w który wiek autorka nas zabiera, naszym nicodłącym towarzyszem będzie nieokreślone niebezpieczeństwo, zagłada, która co stulecie objawia się w innej formie. Bohaterowie ukrywają się, zmuszeni są do zatajenia tożsamości lub jej zmiany. Są brutalnie przesłuchiwani, bici, są świadkami działań inkwizycji. Każdy ze światów w *Mapie* wydaje się zmierzać ku zagładzie, samounicestwieniu przy akompaniamencie pogoni za legendarnym artefaktem, kryjącym – być może – prawdę w odwróconej mapie świata. Wreszcie wydarza się Zagłada, o której pamięć utrwaliła czarno-biała fotografia, przedstawiająca kilkadziesiąt nagich kobiet stojących przed człowiekiem w czarnym płaszczu i białym kitlu – ofiary eksperymentu i oprawcę, po których nie został (poszukiwany przez bohatera) ślad w żadnym dokumencie z lat 40.

Książkowy debiut Barbary Sadurskiej stanowi dialog z pamięcią zbiorową. Pamięć jednostkowa okazuje się w *Mapie* niewystarczająca, zawsze niepełna i zawodna, skazana na wyczerpanie. W świadomości zbiorowej przetrwa materiał do porozumienia lub polemiki – zawsze jednak zniekształcony, tak samo jak mapa Fra Mauro zniekształca rzeczywistość.

Podjęmowane przez autorkę wątki są w pewien sposób schematyczne. Spójrzmy na bohaterów: mamy wśród nich mistrza i jego ucznia, mamy starych mnichów, pokolenia szanowanych lekarzy czy prawników. Kobiety pojawiają się sporadycznie, najczęściej jako uprzedmiotowany obiekt męskich żądz (lub w funkcji opiekuńczej: matki, niańki). Opisy żeńskiego ciała przypominają opisy pergaminów. Umierają wczesnie lub są chore. Świat *Mapy* jest całkowicie męski – widziany z męskiej perspektywy i podyktowany męską obsesją. Poruszone przez Sadurską kwestie – jak się wydaje, ważne i fundamentalne – także nie są ani nowe, ani zadziwiające. Nowy i zadziwiający jest sposób, w jaki autorka je ogrywa. Bo *Mapa* jest grą, postmodernistyczną zabawą z czytelnikiem za pomocą formy. To sprawia, że powaga tematów nie przygniata nas tak, jakby mogła bez opakowania jej w te puzzle: puzzle-historie, które Sadurska w swoim debiucie ułożyła w nieoczekiwany, ale bardzo przemyślany sposób.

Mikołaj Łoziński



STRAMER



ANTONINA M. TOSIEK

**CZAS AKCJI,
MIEJSCE AKCJI**[Mikołaj Łoziński, *Stramer*, Wydawnictwo Literackie 2019]

Mikołaj Łoziński to inżynier powieściowych konstrukcji. Skrupulatny, uważny i zdyscyplinowany. Opowieści zdają się być mu po prostu posłuszne. *Stramer* to przejmująca historia o wręcz sagowym rozmachu, ale niezwykle wyrozumiała względem swoich bohaterów. To opowieść o ocalaniu bliskości i więzi. O tym, co w człowieku najjaśniejsze, warte pamiętania.

Najnowsza powieść Mikołaja Łozińskiego (laureata Nagrody Fundacji im. Kościelskich oraz Paszportu „Polityki”) szturmem zdobyła rynek wydawniczy, wygrywając w większości podsumowań najlepszych książek roku 2019 (choćby dwumiesięcznika „Książki. Magazyn do czytania” czy tygodnika „Polityka”). W *Stramerze* udało się bowiem Łozińskiemu coś naprawdę niezwykłego. Opowiedział historię kilkudziesięciu lat życia żydowskiej rodziny Stramerów, mieszkającej przy ulicy Goldhammera 20 w Tarnowie, właściwie nie poświęcając uwagi wszechwładnej, dyrygującej losami wielkich wojen i rewolucji – Historii. Opowiedział antysemitkę Polskę sprzed wybuchu II wojny światowej bez wikłania się w bezpośrednie pisanie o antysemityzmie. To chyba jest w powieści najbardziej poruszające – tutaj nie trzeba wypowiadać okrucieństwa, żebyśmy wiedzieli o jego istnieniu.

Łoziński znany jest z przeprowadzania szczegółowego researchu; tygodnie spędzone w archiwach poprzedzają powstanie każdej z książek. Dlatego w jego powieściach historii jest zawsze wiele; są te przynależne postaciom, jak i ta pisana wielką literą. Razem wzajemnie się komentują i splatają w nierozwiązywalne supły. W *Stramerze* odnajdujemy znane z poprzedniej powieści (*Książka*) wątki autobiograficzne dotyczące losów

rodziny autora oraz portrety postaci uwikłanych w rozwój wydarzeń historycznych. Jednak tym razem bohaterowie Łozińskiego zdają się trwać nie „za sprawą” wplątania w historię, ale „pomimo” historii. Autor *Reisefieber* wykreował pozornie pogodną i emanującą rodzinnym ciepłem opowieść, która swoją swadą i humorem ma odwracać uwagę od tego, co nieuchronnie nadejdzie.

HISTORIE, LINIA WEWNĘTRZNA

Stramerem włada żywioł opowieści. Łoziński kreuje perspektywę niemal panoramiczną, zagarniającą kilka dekad, kilkanaście postaci i co najmniej cztery kraje. Nathana i Rywkę poznajemy na początku XX wieku, kiedy Nathan powraca z amerykańskich saksów. Porzuca szansę na swój własny *american dream* z miłości do Rywki, swojej przyszłej żony. W Stanach zostaje jednak jego starszy brat Ben, który właściwie utrzymuje całą rodzinę Stramerów, wysyłając im co jakiś czas dolary w fioletowej (barwiącej banknoty) bibułce. W maleńkim pokoiku z kuchnią pojawiają się po kolei dzieci Nathana i Rywki – Rudek, Rena, Salek, Hesio, Wala i Nusek. Cała szóstka (wraz z kotką Milką i psem Suchardem) jest przez autora opowiadana (nigdy do końca opowiedziana) na prawach w pełni demokratycznej narracji. Każdy z rozdziałów przedstawia perspektywę innej postaci w określonym momencie jej życia. Dlatego, posłuszni rygorowi upływającego czasu, towarzyszymy Stramerom podczas rodzinnych rytuałów, kłótni przy stole, dziecięcych zabaw, nastoletnich buntów, a w końcu – wielkich dylematów i przełomowych decyzji.

Łoziński opisuje Stramerów wraz z ich najbardziej prozaicznymi problemami. Każdy z bohaterów zmagą się z własnymi ambicjami i indywidualną potrzebą zaistnienia w opowieści. *Stramer* został skrojony, zaplanowany strona po stronie dla wzbudzenia sympatii względem każdego z bohaterów. Więc dajemy się prowadzić autorowi, który chce, żeby bawiły nas kolejne szalone pomysły na rozkręcenie biznesu Nathana czy opisy pierwszych niezręcznych randek Hesia. Pozwalamy Łozińskiemu na wzniecanie w nas empatii względem Rywki – oddanej, kochającej, ofiarnej, która jako jedyna zdaje się trwać w swej dobroci mimo upływu lat. Wybaczymy szczeniackie wybryki zawsze

spychanemu na ostatni plan Nusкови i trzymamy kciuki za rewolucję, której tak pragną Salek i Hesio, bo właśnie tego oczekuje od nas autor. Mimowolnie wpisujemy się w model, w strukturę, którą obmyślił Łoziński, w czym objawia się zarówno jego niezwykła sprawność pisarska, jak i pewna narracyjna maniera. *Stramer* zdaje się czasem zbyt... zaplanowany. Za bardzo wystylizowany na powieściowość. Podwórko przy Goldhammera 20 jest najbardziej podwórkowe, matczyne zachowania Rywki są najmatczyńniejsze, żarty chłopców o puszczeniu bąków są do bólu chłopackie, a utarczka pomiędzy Nathanem a jego synami zafascynowanymi socjalizmem musi skończyć się żartobliwym amerykańskim wtrętem. Czytając, przerzucamy przed oczami kolejne symetryczne kadry utrwalające działania postaci, nie poznajemy niestety prawdziwych emocji Stramerów. A ci zastygają w swoich dawnych przyzwyczajeniach i rytuałach, nie otrzymując powieściowego miejsca na rozwój i przeżycia emocjonalne.

Jednak powyższy zarzut ma także swój przewrotny rewers. To właśnie dzięki – wręcz archiwistycznym – opisom Łozińskiemu udało się stworzyć wyjątkowo wiarygodny portret przedwojennego Tarnowa. Miasta, w którym, jak w soczewce, skupiają się nastroje społeczne w przeddzień wojny. Stramerowie żyją jednak nieświadomi czekających ich dramatycznych wydarzeń. Łoziński rozegrał to po mistrzowsku; sprawił, że nasza czytelnicza władza, czyli wiedza o dalszych losach tarnowskich Żydów, to brzemień, a nie przywilej. To my stajemy się prorokami złej nowiny, to nasze wyczekiwanie tragicznego końca niszczy pogodny wymiar tej opowieści.

HISTORIA, LINIA ZEWNĘTRZNA

Losy rodziny Stramerów rozwijają się wzdłuż dwóch osi czasu – prywatnej, czyli intymnej, i publicznej, czyli politycznej. Obie przecinają się w wielu miejscach. Wspomnienia dotyczące chociażby Ludwiga Wittgensteina, który miał służyć w jednym pułku wraz z Nathanem, czy relacja z frontu hiszpańskiej wojny domowej lat 1936–1939, do której ochotniczo zgłosił się Salek, uwiarygodniają opowieść i – pomimo jej celowego wyluskania z toku wydarzeń historycznych – wiążą z historią.

Łoziński zdecydował się nadać Stramerom specyficzną cechę – tożsamość rozpisaną między wiele (czasem sprzecznych) przynależności. Bohaterowie *Stramera*, jak 40 procent mieszkańców przedwojennego Tarnowa, posiadają żydowskie pochodzenie. Nie są jednak religijni. Do czasu eskalacji nastrojów antysemickich mogą bez strachu pielęgnować w sobie tożsamość żydowską i polską. Nathan Stramer łączy w swojej polszczyźnie naleciałości innych języków – angielskiego i jidysz. Pierwszym językiem drugiego pokolenia jest już jednak polski. Nathan jest więc Żydem, Polakiem i dawnym emigrantem, a Rudek, Salek, Hesio i Nussek w pewien sposób dziedziczą każdą z tych cech. Dzieci Nathana i Rywki zdobędą dyplomy wyższych uczelni, co także przyczyni się do specyficznej sytuacji zawieszona pomiędzy dwoma tożsamościami – tym razem klasowymi.

STYKI

Stół w tarnowskim mieszkaniu Stramerów staje się ich własnym centrum wszechświata, miejscem, w którym upływający czas traci na znaczeniu. To tutaj Rywka ogląda podarowany jej przez Rudka portret całej szóstki dzieci. Mikołajowi Łozińskiemu zależało, żebyśmy także my pamiętali ich takich jak na tamtej fotografii. Przewroty polityczne, krwawe rewolucje i kolejne końce znanego wcześniej Stramerom świata stanowią jedynie majaczące tło dla ich rodzinnych losów. Oni sami istnieją jako wyłuskani z szerokiej perspektywy wydarzeń historycznych. W trakcie trwania opowieści pozostają uchronieni przed niebezpieczeństwem, żyją za sprawą narracyjnego odroczenia. Jednak tym, co w *Stramerze* Mikołaja Łozińskiego najbardziej przejmujące, są momenty pęknięć, wytwarzania szczelin, kiedy sami bezwiednie uzupełniamy opowieść. Została nam dana okrutna, wszystkowiedząca perspektywa zewnętrznego narratora, któremu niezwykle trudno śmiać się z komediowych wstawek i powiedzonek, skoro zna ciąg dalszy tej opowieści. Nawet jeśli nie została napisana.

Niezwykle przewrotnie historia potraktowała najnowszą powieść Łozińskiego, który z jej wirów tak skrupulatnie starał się wydostać swoich bohaterów. A to właśnie dzięki niej – za sprawą aktualności niepokojów lat 20., znajomego widoku defilujących z zielonymi opaskami na ramionach

chłopców i zatrważającej kariery populistycznego nacjonalizmu - tak nieswojo nam w zderzeniu z pozorną sielankowością *Stramera*. Przecież o swojej terażniejszości wiemy niewiele więcej od wszystkich pokoleń Stramerów. Śmiałyby się z nas Historia, oj, śmiała, gdyby ktoś kiedyś musiał o nas napisać, że byliśmy zbyt naiwni i niewystarczająco czujni. Zupełnie jak oni.

5

WALDEMAR KULIGOWSKI

DZIENNICZEK Z DNI ZARAŻY (V)

1 MAJA, PIĄTEK

Puste ulice, opustoszałe parkingi.

- Od czasu do czasu robimy sobie ze znajomymi takie korona-party - objaśnia kolega z Kalisza. - W domu, każdy przed swoim komputerem, gadamy i popijamy sobie.

- Czasem spotykam się z nimi w parku - opowiada znajoma korepetytorka. - Wtedy ci maturzyści wyplakują mi się w ramię.

2 MAJA, SOBOTA

W oknach flagi narodowe, na chodnikach foliowe rękawiczki. Wiatr.

4 MAJA, PONIEDZIAŁEK

Ustronie Morskie. Dziewięć dzików na Promenadzie Satyry i Dobrego Humoru.

W południe plaża bez ludzi.

- Panie, takiej majówki to ja nie pamiętam, a mieszkam w Ustroniu od urodzenia! Turystów nie ma, nawet miejscowi się boją wychodzić - opowiada sprzedawca z wędzarni ryb Szprot. - Jak dwudziestego kwietnia otworzyli plażę, to przez pierwsze dwa dni prawie nikt z naszych tam nie poszedł. Ale będzie lepiej, na pewno. Jarek obiecał.

Na budynku Domu Kultury plakat „Kultura z wirusem: poniedziałek - słuchowisko, wtorek - film, środa - sztuka, czwartek - teatr, piątek - koncerty, sobota - rodzinne aktywności”.

W Łodziarni Pingwinek mężczyzna w skafandrze dezynfekuje wnętrze.

5 MAJA, WTOREK

Z mejli: „Szkolenie online: paperless, czyli jak przetrwać Covid-19 bez papieru” [...].

Afisz na drzwiach kościoła: „Transmisje przez Facebook: msze święte 12.15 i 17.00, nabożeństwo o 20.30”.

6 MAJA, ŚRODA

Przed sklepem leżą drobne pieniądze. Nikt nie podnosi.

- Otworzyłem dzisiaj bibliotekę i od razu się zaczęło! Jeden facet koniecznie chciał iść między półki z książkami jak kiedyś. Nie mogliśmy mu wytłumaczyć, że jest pandemia i że obowiązują nowe przepisy - opowiada znajomy dyrektor biblioteki. - W ogóle nic nie wygląda dobrze. Zamiast rozporządzeń są tylko rekomendacje. Najpierw oddawane przez czytelników książki miały być na kwarantannie od dziesięciu do czternastu dni. Dlaczego akurat tyle? Nie wiadomo, bo na przykład w Portugalii wyznaczyli kwarantannę trzydziestodniową, a w Czechach siedemdziesięciodwugodzinną. A wirus przecież wszędzie ten sam. Potem jednak skrócili nam ten czas na od trzech do pięciu dni. Bo wybory, a chodzi o papier... Rosną koszty, bo musiałem kupić szyby z pleksi, rękawiczki, płyny. Do tego prezydent miasta jeszcze mówi, że wpływy do kasy są niższe i czeka nas restrukturyzacja albo obniżki wypłat. Więc najlepsi specjaliści zaraz nam podziękują. A po drodze do pracy widziałem kolejkę pod second-handem, zupełnie jak w PRL-u pod mięsny. Ludzie stali bez dystansu i bez maseczek. Nie wygląda to dobrze.

7 MAJA, CZWARTEK

O 18.00 koncert na rogu ulicy. Wokalistka z gitarą, kilkanaście osób na chodniku, drugie tyle w oknach. Seniorka w przyłbicy potrząsa grzechotką, dziewczyna z sąsiedztwa przygrywa na ukulele. Ktoś puszcza bańki mydlane z balkonu.

Zaskakująco intymna, dowcipna i czuła
powieść o nienawiści i miłości w czasach zarazy.
Ignacy Karpowicz

REBECCA MAKKAI

WIERZYLIŚMY JAK NIKT

Przełożył Sebastian Musielak

MACIEJ DUDA

**DOŚWIADCZENIE
OSWOJONE**


[Fragment recenzji *Kurz i brokat* poświęconej książce
Rebecci Makkai *Wierzyliśmy jak nikt*, Wydawnictwo Poznańskie 2020.
Tekst ukazał się w „CzasieKultury.pl” 30 kwietnia 2020.]

Namiętność i gniew są głównymi emocjami towarzyszącymi bohaterom *Wierzyliśmy jak nikt*. Namiętność – do sztuki, do przyjaciół i kochanków; gniew – wobec systemu, kłamstwa, obojętności. Yale i jego koledzy są uwięzieni. Wiedzą, że nad ich światem zapanował wirus powodujący chorobę, na którą nie ma leku. (Jeszcze) nie ma też jednoznacznej wykładni, w jaki sposób można się zarazić i jak można się ustrzec. Krążą mity, półprawdy, teorie wysane z palca. Z dzisiejszej perspektywy naiwne, ale wciąż trwałe; w schemacie niezmiennie. Ten tekst piszę podczas pandemii koronawirusa, która nas rozdzieliła, zamknęła w niepewności, odosobniła.

Przez ostatnie tygodnie czytałem kilka tekstów na temat podobieństw między zagrożeniem AIDS i COVID-19. Autorzy – przede wszystkim homoseksualni mężczyźni – piszą, że dzisiejsze doświadczenie jest dla nich ciągle wobec tego, co czuli wcześniej. Że zarówno doświadczenie bycia nieheteroseksualnym, jak i doświadczenie HIV przygotowały ich na obecną pandemię: dały wiedzę o wywoływanych przez podobną sytuację emocjach – z której teraz pozwala korzystać. Nie tylko w warstwie strachu przed ryzykiem zakażenia, ale też w warstwie życia społecznego. Nagle przecież nikt z nas, bez względu na seksualność, nie może chodzić po ulicy, trzymając się za rękę; nie wolno pocałować się publicznie. Niektórym jednak doświadczenie to jest na tyle znane, że w pewien sposób już „oswojone”. Nie ma w tej perspektywie zawistnej radości – że teraz doświadczenie stygmatyzującej pandemii rozszerzy się na społeczny *mainstream*. Są raczej poczucie goryczy i nadzieja

na zrozumienie, w jakże dziwnym świecie żyjemy. Ta nadzieja wynika z doświadczeń tych, którzy żyją na marginesie. Nagle to margines staje się wykładnią. Nie tylko w perspektywie społeczno-emocjonalnej; przecież leki, które przyjmują osoby żyjące z HIV, starano się wykorzystać jako pomocne przy walce z nowym wirusem (dla niniejszego omówienia istotny jest sam kierunek poszukiwania rozwiązań, stanowiący kolejną płaszczyznę łączącą pandemię koronawirusa z AIDS, mniej zaś skutek/skuteczność owego rozwiązania). Nagle wszyscy jesteśmy w historii, w której państwo nie umie i nie chce nas leczyć. Zamiast tego zamyka nas, izoluje, segreguje. Po każdym spotkaniu wracamy na linię startu i odliczamy, czy w ciągu dwóch tygodni pojawią się objawy. Podobnie jak Yale i inni bohaterowie książki. Na razie nie mamy w sobie buntu, silniejszy jest strach. Tym łatwiej wyobrazić sobie możemy, jak długą drogę przeszli buntujący się uczestnicy marszów, protestów i akcji, które doprowadziły do tego, że władza zaczęła dbać o obywateli chorych na AIDS, zamiast skazywać ich na odosobnienie i śmierć, poczucie winy i wstydu.

Wina i wstyd to odczucia, z którymi mierzą się wszyscy bohaterowie Makkai. Ci, którzy przeżyli, oraz ci, którzy zarazili siebie i innych. Pragną wyjść poza te emocje. Za ich horyzontem znajdują się duma i pamięć.

The book cover features a black background with numerous colorful raindrops in shades of red, blue, yellow, purple, and orange. Small white numbers are scattered throughout the design. The author's name and the title are centered in white text.

7

35

23

4

13

61

2

86

Georgi
Gospodinow



FIZYKA
SMUTKU

JULITA SEMRAU

**STARZENIE SIĘ
EMPATY**

[Georgi Gospodinow, *Fizyka smutku*, tłum. Magdalena Pytlak,
Wydawnictwo Literackie 2018]

„Jego żona, Pazyfac, urodziła dziecko, które
miało kształt byka i człowieka. Ten syn szkaradny
wyrósł na groźnego potwora i nazwano
go Minotaurem.”

(Jan Parandowski, *Mitologia*)

NA ZIEMI NICZYJEJ

Jeśli Minotaur był po prostu człowiekiem, małym dzieckiem, które porzucono, a następnie dokonano na nim brutalnego morderstwa, ponieważ był inny od reszty, a więc motywem dla zbrodni był jedynie wstyd – co wtedy? Jeśli życie każdego człowieka to prawdziwy labirynt, z którego nie jesteśmy w stanie wyjść, nawet jeśli otrzymamy nic – co wtedy? Chciałabym móc stwierdzić, że *Fizyka smutku* Georgija Gospodinowa stanowi odpowiedź na te pytania – i tym podsumować moją wypowiedź.

Książkę otwiera epigrafika, która nie tylko zapowiada przewijający się przez cały utwór wątek, ale również buduje w czytelniku bazę pod nadchodzące emocje. Jednak nie jest ona w stanie faktycznie przygotować na nadchodzący tuż po niej *Prolog*. Zwraca się w nim do nas powielony podmiot mówiący, przedstawiający się raz jako mężczyzna, raz jako dziecko w łonie matki, raz muszka, raz jako cały zbiór innych zwierząt, a innym razem jako krzew. Konfuzja wobec sposobu opowiadania trwa – zniknie tylko, jeśli czytelnik się z owym sposobem pogodzi, przyjmie go. Sprawy nie ułatwia dwudzielna narracja, która zmienia się czasem nawet w połowie wypowiedzi. Słuchamy opowieści dziadka, a za chwilę jesteśmy staruszką, który w swoich wspomnieniach jest dzieckiem.

Zagubieni? Jak każdy na początku. Bezpośrednie zwroty do odbiorcy również pojawiają się w toku całej historii. Autor wielokrotnie upewnia się, czy nadal z nim jesteśmy, czy nie zginęliśmy w jednym z korytarzy wspomnień.

Do tego dochodzi doprowadzona do perfekcji gra słów. Sprawdzian dla języka i jego wytrzymałości. Naciągany jest on do granic możliwości, a nam pozostaje czekać, czy pęknie, czy jednak nagnie się do potrzeb autora i przedstawi nam coś, czego pozornie opisać się nie da.

Tytułowa „fizyka” to przemieszanie przestrzeni, przejścia pomiędzy świadomościami różnych stworzeń. Stąd momentalne zmiany perspektywy narracyjnej z pierwszej osoby na trzecią. Gospodinow wyjaśnia, że jest to nie do uniknięcia, ze względu na niepewność własnego ciała i świadomości na przestrzeni lat. Relacja z osobą opowiadającą nigdy nie jest jasna, ich role zamieniają się ze sobą, tworząc obraz niczym w kalejdoskopie.

„ECH, NO I ZNÓW SIĘ PRZENIÓŚŁ”

Występujące przeskokki pomiędzy bułgarską rzeczywistością a mitologicznym labiryntem to popis umiętności autora. Książka została podzielona na siedem części, w których skład wchodzi pojedyncze historie. Otwierająca część pierwszą opowieść *Magik* jest początkiem nici, za którą będzie szedł czytelnik. Opowieść o chłopcu, który po raz pierwszy poszedł sam na jarmark, zapoznaje nas z Minotaurem, mitologicznym chłopcem-bykiem, który został zamknięty w labiryncie i zgładzony przez Tezeusza. To punkt zerowy narracji, od którego będziemy przeskakiwać w najróżniejsze ciała i umysły. Wspomnienia autora, dziadka i jego rodziny przemieszane zostały z metafizycznymi i po części egzystencjalnymi zagadnieniami, dla których bazą stał się jeden mit. Niccodziennością jest odebranie przez czytelnika bezpośredniej wiadomości od autora, w której mówi, że czytając tę książkę, tak naprawdę zbliżamy się do jego śmierci. Teoretycznie niewinne, a tak naprawdę mrozące krew w żyłach stwierdzenie to jedynie początek budującej się relacji pomiędzy nadawcą a odbiorcą. Zakończenie pierwszej części dowodzi niczego innego, jak talentu i zręczności autora. Przez wszystkie rozdziały pierwszej części autor prowadził z czytelnikiem grę, szedł nieliniarnymi historiami

dziadka, Ariadny, babci, swojej własnej, rozciągając przy tym cieniutką nicią, abyśmy mogli za nim podążać. Okazuje się, że w ten sposób zatoczyliśmy koło, a Minotaur przede wszystkim bał się ciemności.

Początek części drugiej to mowa końcowa obrońcy Minotaura. Piękny fragment złożony z dowodów, wedle których Minotaur miał być człowiekiem, a Tezeusz jego mordercą. Interesująco skonstruowany rozdział odnosi czytelnika do fragmentów utworów Wergiliusza, Homera i Dantego. Nadaje powieści głębię, sytuując ją jako kolejne ogniwo w łańcuchu intertekstowości.

Bieg książki zmienia się nieoczekiwanie, kiedy autor przechodzi do wyliczenia dzieci, które zostały zjedzone na kartach mitologii greckiej. Okazuje się, że jest to nie tylko opowieść o jednym chłopcu-potworze, ale o rzeczach, które porzuciliśmy, porzucamy i o tych, które prawdopodobnie zostaną porzucone. To moment, w którym zostajemy wprowadzeni w działanie fizyki smutku. Ostatecznym ciosem wymierzonym w czytelnika stała się mowa samego Minotaura. Została ona napisana historycznym heksametrem, który jest swoistą kapsułą czasu chroniącą swoją zawartość przed zapomnieniem i porzuceniem.

Jak widać - ani na chwilę nie odstępujemy od mitologicznego wątku, a jednak wewnątrz niego zaczyna klarować się coś zupełnie innego: dopełnienie książki, które równocześnie wyjaśnia pochodzenie tytułu. Kolejna historia to przypiecztowanie emocjonalnego, głębokiego smutku. Dowiadujemy się o kolekcji, która znajduje się w piwnicy narratora: zbiorze notesów i gazet z ostatnich lat. Jeden z wycinków informuje o hiszpańskim byku, który podczas występu zaatakował publiczność, po czym został zastrzelony. Naszej moralności i świadomości zostają postawione niewygodne, ale zmuszające do refleksji pytania. Co, jeśli był to Minotaur, dziecko, które rozpoznało w tłumie swoją mitologiczną matkę, ale nie był w stanie się z nią skontaktować? Dokonało się kolejne zabójstwo Minotaura. I dokonuje się za każdym razem, gdy corrida przebiega bez nieprzewidzianych wypadków, a Tezeuszem jest matador.

HANDLARZ HISTORIAMI

Śledzimy zatem nie tylko kolejne wcielenia mitologicznego wątku – przyglądamy się także pochodzeniu i naturze smutku. Są to naznaczone filozofią i fizyką rozdziały, które opowiadają o życiu narratora i ludzi dookoła niego.

Autor z przyczyn osobistych zaczął podróżować po świecie, odwiedzając przy tym niezliczoną liczbę hoteli i miast, a każde z nich miało własną historię do opowiedzenia. Jest to również część bardziej intymna, prywatna, która pozwala pogłębić relację z podmiotem mówiącym, częściowo się z nim utożsamić i przyjąć na siebie część smutku. Interesujący jest również sposób, w jaki narrator pozyskuje wspomnienia innych, aby je spisać, odciążając przy tym ich właścicieli, a potem zamknąć w jednym z pudeł, by pamięć nigdy nie została porzucona. Dzięki temu poznajemy historię smutku porzuconej kobiety, taksówkarza, który oczekuje na damę swojego życia i dziewczyny, która stoi od lat pod kinem i śle listy do swojego nieistniejącego kochanka.

JAK SIĘ MASZ?

Pytanie, które każdy z nas słyszy co najmniej kilka razy w ciągu tygodnia. Kulminacją książki jest spis słów, które ludzie wypowiadają w odpowiedzi; każde z nich zostanie przeanalizowane i ocenione. Ten filozoficzny fragment pomaga czytelnikowi podsumować książkę. Po podróży przez długi i skomplikowany labirynt, w którym każdy z nas staje się Minotaurem, postawione zostaje pytanie o nas samych, jak tak naprawdę „my” się mamy.

„Zadanie poety to nie wynajdywanie nowych wzruszeń, ale wyzyskiwanie pospolitych przez przerobienie ich w poezję, wyrażenie uczuć, które w samych rzeczywistych wzruszeniach nie tkwiły” – tak T.S. Eliot, pisząc o talentach indywidualnych, podsumował prawdziwego poetę. Diagnozę tę odnoszę do sposobu, w jaki Georgi Gospodinow codzienne smutki skompresował z mitem Minotaura. Stworzył w ten sposób prawdziwą sztukę uczuć.

BARDZO ZIMNA WIOSNA



KATARZYNA
TUBYLEWICZ

BEATA STASZAK

**ROZMOWA
JEST ODPOWIEDZIĄ**[Katarzyna Tubylewicz, *Bardzo zimna wiosna*, Wydawnictwo W.A.B. 2020]

Żeby podnieść się z upadku, należy najpierw o nim powiedzieć – wymaga to pewnego rodzaju odwagi i siły, ale jest jedyną gwarancją możliwości świadomego przeprowadzenia zmiany. Katarzyna Tubylewicz w powieści kryminalnej *Bardzo zimna wiosna* porusza kilka wątków, które tego głośnego wypowiedzenia wymagają; ale też – pokazuje skutki zamiatania problemów pod dywan.

OFIARY

„Odczuwam potrzebę przywracania godności ofiarom – chcę je pokazać jako skomplikowane jednostki, a nie jedynie pasywne obiekty opresji” – mówi autorka. Opisuje historię morderstwa Greta Sjöwall, starszej kobiety, z pochodzenia Niemki, mieszkającej przez większość życia w Szwecji. Nie jest ona jednak jedyną ofiarą w tej opowieści; spośród pozostałych bohaterów każdy na swój sposób został zraniony i szuka dla siebie przestrzeni, w której odnajdzie spokój.

Główną bohaterką powieści nie jest Greta, ale Ewa, Polka, która ucieka do Szwecji przed znęcającym się nad nią psychicznie i fizycznie mężem. Pomimo strachu i ciągłego napięcia podejmuje walkę o siebie. Nie boi się przyznać, przede wszystkim przed sobą, do tego, co ją spotkało, a tragiczne doświadczenia nazywa po imieniu.

Ewa podejmuje pracę opiekunki Grety. Wraz z pojawieniem się tej postaci, Tubylewicz porusza kolejny rzadko poruszany i niewygodny temat: przemoc na tle seksualnym, jaką amerykańscy żołnierze stosowali wobec Niemek pod koniec drugiej wojny światowej. Greta wymigrowała do Szwecji jako młoda dziewczyna, po tym jak była świadkiem gwałtu na swojej matce i siostrach. W Szwecji, jako Niemka, do połowy lat 50. postrzegana była jako reprezentantka wroga, z którym walczone. Nie było miejsca na przyjrzenie się jej osobistej tragedii.

Dwie bohaterki znajdują wspólny język i stają się sobie bliskie, choć dzieli je wiek i pochodzenie. Ich losy są pewnego rodzaju wstępem do rozmowy na temat uchodźców, polityki otwartych granic i chęci niesienia pomocy za wszelką cenę, których skutki, jak przynajmniej w wywiadach pisarka, są zamiatane w Szwecji pod dywan.

PRZEMOC

Jednym ze skutków otwartej polityki imigracyjnej w Szwecji jest bardzo duża liczba afgańskich uchodźców. Katarzyna Tubylewicz daje przestrzeń, aby historii części z nich mogły wybrzmieć. Kultura europejska jest dla nich często do niczego niepodobna, nie mają tu nikogo bliskiego i nie znają języka. W *Bardzo zimnej wiosnie* autorka ukazuje kilka płaszczyzn, na których obecność uchodźców jest odbierana przez Szwedów. Polityka kraju opiera się na chęci pomocy potrzebującym i zapewnienia im bezpieczeństwa. Problem pojawia się, kiedy priorytet podtrzymania opinii kraju „otwartego” zderzony zostaje z dostrzeganiem coraz szerszych, niewygodnych skutków owej polityki.

Jednym z bohaterów książki jest Rashid, młody Afgańczyk mieszkający w ośrodku dla nieletnich uchodźców, który ma nauczyć ich języka i reguł społeczno-kulturowych. Placówkę wspiera bogatsza część mieszkańców Sztokholmu; nie są oni jednak równie chętni do bliższych kontaktów z tymi, którym pomagają. Nie muszą: zamożni Szwedzi i Szwedki, mieszkający w bogatszych dzielnicach, nie są do tego zmuszani; w przeciwieństwie do przeciętnych i uboższych obywateli. To w ich dzielnicach grasują gangi. Grupy przestępcze są jednym z wyników kryzysu uchodźczego – gdyż w jego wyniku państwo przestało nadążać z asymilacją nowoprzybyłych osób.

Zaś samym uchodźcom, pozostającym na marginesie społeczeństwa, łatwiej jest zorganizować się w grupę przestępczą, niż zabiegać o włączenie do szwedzkiej codzienności – codzienności mniej „równej” i „otwartej” niż sugerowałyby to polityczne hasła.

OTOCZENIE

Uwagę zwracają opisy mebli, design, do którego Greta i jej córka przykładają sporo uwagi. Znaczącą dla opowieści rolę odgrywa biurko projektu Josefa Franka, austriackiego Żyda, który uciekł do Szwecji (meble wykonane wedle jego projektu są wciąż dostępne w sklepie Sensk Tenn na Strandvägen). Informacje na temat autorów projektów pojedynczych przedmiotów wywołują w czytelniku wrażenie, że przedmioty nie są tu zwykłymi przedmiotami („z sieciówki”), ale mają swoje miejsce i historię – bądź też konkretną, historyczną aurę, która od nich bije. Przykładowo, takie sztuczce „z historią” wydają się podnosić rangę i smak potraw nimi jedzonych. Ukazanie domu w taki sposób jest ciekawym wyzwaniem dla wyobraźni.

MŁODE TRADYCJE

Takie przywiązanie do szczegółu nie odwraca jednak uwagi od głównych tematów tej opowieści. Powieść kryminalna zdaje się być pretekstem do podjęcia rozmowy na skomplikowane społeczne tematy (przemoc domowa, gangi, bezradność policji, fala uchodźców, otwarte granice, zatarta historia). Tematy, które, jeśli będą systemowo przemilczane, same upomną się o siebie krzykiem i agresją. Morderstwo Grety Sjöwall stanowi punkt grawitacyjny, wokół którego krążą różne, trudniejsze do zaklasyfikowania problemy społeczne i psychologiczne. Aby rozwikłać zagadkę zabójstwa, należy rozpocząć rozmowę na ich temat.

Georgi
Gospodinow



FIZYKA
SMUTKU

ANTONINA M. TOSIEK

**STRATEGIE
OPORU**

[Georgi Gospodinow, *Fizyka smutku*, tłum. Magdalena Pytlak,
Wydawnictwo Literackie 2018]

Mamy naturalną tendencję do uwspólniania, bo lubimy mieć wrażenie, że do czegoś przynależymy. Ale istnieje też tej tendencji rewers: mamy potrzebę gloryfikowania swojej osobności i wyjątkowości przeżycia. My – wschód Europy. Obszar zza żelaznej kurtyny, którego doświadczenie XX wieku zorganizowane zostało wokół okrucieństwa wojen, a następnie bezwzględności ustroju. Ale przecież nasze losy znacząco się różnią. Myli się więc każdy, kto próbuje z wielości historii stworzyć jedną – ogólną. A jednak Georgi Gospodinow stworzył wyjątkową opowieść o smutku, której udało się stanąć po stronie zarówno wspólnoty, jak i osobności; tyle że uzupełnił historię o plan trzeci: mityczny.

Fizyka smutku swoją bułgarską premierę miała w roku 2012. Czytelnicy ogłosili ją najlepszą powieścią roku, sześć lat później ukazało się jej ósme wydanie. Gospodinow od lat konsekwentnie umacnia swoją pozycję jednego z najpopularniejszych i najpoczytniejszych współczesnych pisarzy bułgarskich. Ma na swoim koncie cztery tomy poezji, dwa dramaty, dwie powieści i scenariusz krótkometrażowego filmu wyróżnionego na Festiwalu Sundance. W 2006 roku wydał książkę *Przeżyłem socjalizm*: zbiór pamiętników o życiu z Bułgarii sprzed przełomu roku 1989, które zbierał przy pomocy platformy internetowej. *Fizyka smutku* ukazała się w Polsce nakładem Wydawnictwa Literackiego w roku 2018, rok później została wyróżniona we Wrocławiu Literacką Nagrodą Europy Środkowej „Angelus”.

Poprzez swoje piarstwo Gospodinow zwraca szczególną uwagę na możliwość uprawomocnienia opowieści dotychczas marginalizowanych, lekceważonych. Historii narodowych, politycznych i osobistych, które składają się na specyficzne doświadczenie losu swojego narodu. Jak sam zwracał uwagę w jednym z wywiadów – bułgarski smutek (*taga*), któremu poświęca swoje książki, jest tak naprawdę nieprzetłumaczalny.

„JA JESTEŚMY”

Opowieść właściwą *Fizyki smutku* poprzedza kilka znaczących cytatów, którymi Gospodinow naprowadza nas na krętą ścieżkę spisanej przez siebie historii. (A może nie naprowadza, tylko myli tropy?). Za Hemingwayem powtarza, że to od czytelnika zależy, czy uzna tę książkę za powieść czy za coś innego; za Pessoa, że mit jest dla nas tak naprawdę niczym, czyli wszystkim; za Borgesem, że nie ma już śladu po dawnym magicznym świecie, a nas pozostawiono samych. Otwiera więc wiele furtek jednocześnie, wyczula na śledzenie poszczególnych elementów i polifonię; pisze „Jesteśmy” w imieniu pojawiających się w prologu bohaterów pochodzących z różnego czasu i reprezentujących różne stany materii. Wszystkich Ich spaja przecucie nadchodzącego kryzysu, trwanie w przejmującej destabilizacji. Kiedy z Nich wyłania się bohater mający prowadzić dalszą narrację – najpierw lękliwy chłopiec, później melancholijny dorosły, pisarz G.G., przeczuwamy, że wszystkie poprzednie wcielenia składają się na jego wyjątkowość. A posiada on naprawdę wyjątkowy dar – „patologiczną empatię, inaczej obsesyjny syndrom empatyczno-somatyczny”, który pozwala mu wkraczać w cudze wspomnienia i doświadczać ich jak własnych. Współdzieli, czy raczej: współodczuwa zarówno dziecięce i wojenne losy swojego dziadka, jak również los powracającego wielokrotnie bohatera – Minotaura, stanowiącego archetyp prawdziwie dojmującego i niesprawiedliwego cierpienia.

Opowiadający (sankcja opowieści jest bowiem w *Fizyce smutku* wartością nadrzędną) staje się lustrzanym, chociaż wcale nie bardziej realnym odbiciem swojego rówieśnika – Minotaura. Stają się scaleni w jednym lęku i smutku. Gospodinow nakazuje im obu kluczyć w labiryntach pamięci i nieustannie poszukiwać odpowiedzi na pytanie,

gdzie leży źródło ich cierpienia, przez kogo zostali po raz pierwszy porzuceni.

Zmieniają się więc dekady, mijają wojny, nastają i upadają ustroje, które mogłyby przecież zostać rozpisane w powieściach o tytułach proponowanych przez narratora: „«Historia nudy w latach osiemdziesiątych XX wieku» albo «Krótka historia ulotnego», albo «Wprowadzenie do prowincjonalnego smutku późnego socjalizmu», «Katalog znaków, których nigdy nie zauważaliśmy», «Niepełny spis lęków z 2010 roku»”. Najbardziej pożądaną zdolnością, a więc strategią przetrwania wobec zmian i upływającego czasu, jest „umiejętność zasiedlania”. Gospodinow zasiedla czas swojej opowieści niezliczoną ilością drobinek, pyłków, maleńkich elementów materii; pisze: „Historię świata można napisać w imieniu kota, orchidei albo kamyka. Albo w imieniu wroniego oka. Wzniosłe jest wszędzie”. Naznacza pamięć Opowiadającego tysiącami wcześniejszych doświadczeń swoich bliskich, swojego narodu i pierwotnego człowieczeństwa ucieleśnionego w postaci Minotaura. Dzięki temu książka staje się i uniwersalnym portretem ludzkiej wspólnoty smutku, i opisem przeżyć konkretnego pokolenia urodzonego w okolicach roku 1968, i zapisem wspólnych doświadczeń społeczeństwa na tle przemian historycznych i politycznych. U Gospodinowa wspólna, dziedziczna pamięć kształtuje imaginarium bohaterów, wciela ich do wspólnoty doświadczeń i sentymentów. Konstruuje on powieść-niepowieść jak kapsułę, którą pozostawia się dla przyszłych pokoleń i cywilizacji; oznacza ją zdaniem: „Otworzyć po końcu świata!”. Kapsuły konstruowane przez naukowców i polityków składały się z cyfr i realistycznych obrazów, zawartość kapsuły Gospodinowa stanowi strumień opowieści. Dlatego G.G. nie tylko opowiada własną historię, ale też skupuje cudze. Szuka czegoś wartego zapamiętania, umieszczenia w wiecznie żywym muzeum.

„HARRY STOEV PRZYBYŁ NA JARMARK,

HARRY STOEV WRÓCIŁ Z AMERYKI...”

Gospodinow przekracza w *Fizyce smutku* granice gatunków, liniową chronologię i prosty podział na to, co realne, a co wyobrażone. Wszędzie tam, gdzie wydarza się *niesamowite*, przynależące do porządku

mitu, autor uruchamia poetykę pokrewną realizmowi magicznemu. Opowieści o snach Minotaura, podróżującym w czasie Gaustynic i performatywnej mocy przywoływania wspomnień nie stanowią jedynie lirycznych dodatków do fabuły, są literackimi działaniami emancypacyjnymi. Realizm magiczny w swojej oryginalnej szacie – u Marqueza czy Cortáзара – stawał się poetyką czynnego sprzeciwu względem praktyk kolonialnych i zewnętrznej dominacji. Dokładnie taką drogę obiera Gospodinow. Skróconą historię wojen, podległości i przemocy doświadczanej przez naród bułgarski opowiada poprzez nadawanie jej znamion metafizyki. Bohaterowie *Fizyki smutku* mogą wypowiedzieć swój los przy pomocy tych magicznych szczelin, pęknięć tradycyjnej struktury narracyjnej. Nieprzetłumaczalność bułgarskiej *tagi* polega bowiem także na przynależeniu zawsze w połowie, na granicy. Na granicy Europy, stronnictw, gloryfikowanych i potępianych kart historii. Dla Gospodinowa historia Bułgarii jest historią odrzucenia. Dlatego opowieść *Fizyki smutku* ubrana została w pozory mitycznej formy – współczesny mit ma to odrzucenie upamiętnić, wcielić je do wspólnego planu, nadać mu ważność.

„JA BYLIŚMY”

Fizyka smutku staje się także drobiazgowym i czujnym studium nad relacjami człowieka z naturą, z najmniejszymi, a zarazem najważniejszymi cząstkami świata. Nietrudno odczytywać zatem lęk odczuwany przez bohaterów Gospodinowa także w perspektywie nieco zaktualizowanej – jako lęk klimatyczny. Gospodinow staje bowiem po stronie ofiar najbardziej umasowionej przemocy, której jesteśmy świadkami i sprawcami: zwierząt. Jego refleksja na temat człowieczeństwa w obliczu kryzysu może być odczytywana jako akt oskarżenia przeciwko ludzkości, która z niezwykłym okrucieństwem morduje miliardy żywych istot dla zmanifestowania własnej dominacji. Gospodinow nie boi się wstrząsnąć czytelnikiem, któremu przedstawia fragmenty ustaw regulujących zasady uboju rytualnego, ujawniając jego barbarzyński wymiar.

Opisuje tytuły gazet z 4 czerwca 2022 roku: „Grubymi literami u góry napisano: «Dziwna epidemia braku pamięci»”. *Fizyka smutku* zdaje

się opowiadać także o innego rodzaju kryzysie, do którego doprowadził przedziwny i niesprawiedliwy XX wiek – epidemii braku wyobraźni. Opowieść tę można zatem odczytywać także jako pewien przypis do nicodraczanego końca antropocenu i przemiany dotychczasowej poetyki ludzkiej winy i lęku. „Ja byliśmy” – kończy Gospodinow. Byliśmy tak długo, jak była w nas pamięć o wspólnym wymiarze losu – o uwięzionym i niewinnym Minotaurze.

„ZAZWYCZAJ HISTORIA OPOWIADANA JEST PRZEZ TEGO,
KTO ZAJMUJE SŁABSZĄ POZYCJĘ”

W 1995 roku Julia Kristeva opublikowała głośny esej *Bułgario, moje cierpienie...*, w którym opisała, jak współczuje swojej ojczyźnie wrodzonego genu nieprzystosowania do zewnętrznej rzeczywistości i naturalnej skłonności do stawiania oporu. Georgi Gospodinow i jego literatura stają po drugiej stronie tej narodowej barykady. Opowieści Gospodinowa stanowią bowiem manifestację tego oporu i zdaje się, że będą przy nim trwać tak długo, aż historia, którą pragną ocalić, nie zostanie uznana i uprawomocniona.

6

WALDEMAR KULIGOWSKI

DZIENNICZEK Z DNI ZARAŻY (VI)

8 MAJA, PIĄTEK

- Stary, myśmy się bogacili powoli, przez dwadzieścia lat - mówi kolega. - A teraz to wszystko tracimy. Boję się, że wracamy do lat 90., do tamtego kryzysu, i znowu wszystko zacznie się od nowa.

9 MAJA, SOBOTA

- Co to jest za władza teraz? - dziwi się strażnik w Muzeum Narodowym. - Nawet nie umieją wyborów zorganizować.

10 MAJA, NIEDZIELA

Pandemiczny słownik: izolatoria, wymazobusy, izolacja kontaktowa.

- Ja się mniej teraz boję tego wirusa, a bardziej gnoju politycznego - mówi kolega. - Możemy stracić całe trzydzieści lat.

11 MAJA, PONIEDZIAŁEK

Mejl: nasz festiwal „w 2021 będzie niesamowity. Jeśli masz bilet na 2020 rok, będzie on nadal ważny, a dodatkowo otrzymasz słodką premię, którą możesz wykorzystać jako zapłatę za jedzenie, napoje i towary! Nie możemy się już doczekać, by przeżyć wraz z tobą nowe niezapomniane wspomnienia”.

12 MAJA, WTOREK

Centrum handlowe. Naklejki na podłodze: „Proszę, zachowaj odstęp min. 2 m” i „Prosimy nie siadać. Dziękujemy” obok ławek obciążonych paskami folii. Mimo informacji „W tym sklepie obowiązuje ograniczona liczba klientów”, nikt tego nie sprawdza.

13 MAJA, ŚRODA

Na targowisku głównym tematem jest niestabilna pogoda.

- Już się przyzwyczailiśmy, że wiele zakupów robimy przez internet. I paczki przychodzą szybko, nawet następnego dnia - mówi kolega. - Natomiast Poczta Polska jest nieobliczalna... Na ważny list czekamy już ponad dwa tygodnie.

Okno baru ChiChi ozdobione kolorowymi chorągiewkami i balonami. Na ulicy dwa krzesła i stolik, na nim talerz frytek, burger, sos, napój w butelce i koszyk z chusteczkami. To reakcja na decyzję rządu o otwarciu w poniedziałek - z zachowaniem „reżimu sanitarnego” - barów i restauracji.

14 MAJA, CZWARTEK

Plakat na przystanku: „Władza jest wirusem: ograniczenie praw obywateli, niedofinansowana służba zdrowia, brak tekstów wykrywających Covid-19, koszty kryzysu zrzucone na społeczeństwo, łamanie praw pracowniczych, brak maseczek i kombinezonów ochronnych”.

15 MAJA, PIĄTEK

- Ludzie przychodzą, bo zatęsknili za książkami - opowiada pani z wypożyczalni bibliotecznej. - Mówią, że nie wystarcza im książka elektroniczna, że potrzebują jednak papierowej.

17 MAJA, NIEDZIELA

Zaczęły się wyprzedzać maseczek – także „komunijnych”, po sześć złotych sztuka.

19 MAJA, WTOREK

Maseczki „wielowarstwowe” do kupna na straganie warzywnym.
Zniknęły kolejki przed aptekami.

*Julia
Fiedorczuk*

POD SŁONCEM



ALEKSANDRA GÓRECKA

**KAŻDA KSIĄŻKA
KIEDYŚ SIĘ KOŃCZY...**[Julia Fiedorczuk, *Pod słońcem*, Wydawnictwo Literackie 2020]

Szła wiosna. Pod lichym słońcem... wydarzyło się TO. Inne życie. Przeplatające się losy, po jednej stronie młodość, po drugiej starość; walczące ze sobą, lecz dopełniające się życie i śmierć. Życie, które wybucha pragnieniem istnienia, choć z każdym rokiem maleje, dziwnieje, ucieka do lasu, błąka się po wsi. Śmierć - okrutna, ale nieuchronna; choć zaskakująca, to ludzie przyzwyczaili się do niej, jakby jej oczekiwali. Młodość, która napędza tęsknoty, pozwalająca do rana siedzieć i czytać. A może trzeba zestarzeć się po to, by uzgodnić swój czas z czasem roślin? Aby zapamiętać wszystko na siedemdziesiąt lat, na deszcz, śnieg, na wszystko pod słońcem.

Te ważne, w pewnym sensie uniwersalne kwestie porusza Julia Fiedorczuk w najnowszej powieści zatytułowanej *Pod słońcem*. Książka miała premierę w marcu 2020 roku, w paradoksalnie idealnym na to momencie - w czasie kryzysu związanego z pandemią, kiedy nie wiadomo było, co dalej, co stanie się z nami, naszymi rodzinami, ze społeczeństwem, z pracą, z gospodarką. Czas, który przyszło nam przeżywać, wzbudza(ł) wiele lęków i niepewności. W tym trudnym okresie ludzie nie zadają łatwych pytań. Idealnym odzwierciedleniem tego jest fabuła książki. Pytania pozostają często bez odpowiedzi, są zerwane, głuche, ale zapadające głęboko w pamięć. „Dokąd idzie śpiew ptaków?”

Najnowsza powieść Julii Fiedorczuk to niejako kontynuacja tematyki zawartej w zbiorze opowiadań *Bliskie kraje*: mówi o przemijaniu oraz związanym z nim niepokoju jako inherentnej cesze życia, nie tylko ludzkiego. W biegu czasu, w zmierzaniu ku końcowi równi są ludzie, zwierzęta i rośliny. Słońce wschodzi i zachodzi, mijają pory roku – skrzypiąca zima, a po niej odwilż, potem czas żniw w upalne dni, powolne zasypianie; i cykl zaczyna się na nowo.

Julia Fiedorczuk jako poetka daje wyraz swojej liryczności także w powieściach. Dowodem tego są zawarte w nowej książce opisy przyrody, relacji czy poetyckie przedstawienie śmierci, która ma w sobie coś magicznego i nierealnego, groźnego i fascynującego zarazem. Mam wrażenie, że śmierć jest głównym bohaterem powieści, trudnym do przyswojenia, budzącym lęk, ale – paradoksalnie – niosącym w sobie też ziarno nadziei. W kręgu zainteresowań naukowych Fiedorczuk znajduje się między innymi ekokrytyka, zaś jej działania na polu animacji kultury stanowią swego rodzaju odpowiedź na kryzys ekologiczny. O tym kontekście również nie można zapomnieć, gdyż autorka o przyrodzie pisze z ogromną czułością, jednocześnie z wielkim szacunkiem dla mądrości natury.

Fiedorczuk w *Pod słońcem* tworzy świat, w którym rytm życia poddany jest imperatywom innym niż polityczne – cyklowi pór roku, biologizmowi regulującemu ludzką pracę. Choć akcja osadzona jest na Podlasiu, w okresie powojennej Polski, tło historyczne nie znajduje się na pierwszym miejscu. Jednakże Fiedorczuk nie bagatelizuje kontekstu historii, jej fatalizmu i wpływu na ludzkie losy. Historia swoją powagą i wielkością zakłóca stabilną, bo powtarzalną codzienność – jako przykład służyć może wątek wojny: autorka mnoży tu sceny, w których do domów bohaterów przychodzą sowieccy lub niemieccy żołnierze, których to gospodynie częstują jedzeniem, a dzieci w atmosferze gościnności recytują wiersze. Być może wynika to z głębokich obaw postaci, a być może z nieświadomości skomplikowania sytuacji.

Głównymi bohaterami powieści są Michał i jego żona Miłka, pracujący jako nauczyciele w powojennej wiejskiej szkole. Michała kształtuje profesor Koniarski, opowiadając mu o świecie, uczy go języków. Michał jako młody chłopak jest bardzo energiczny, pełen ciekawości wobec świata, o którym z pasją opowiada Miłce.

Obok nich na kartach powieści przewija się wielu bohaterów, ich losy wzajemnie się przeplatają, łączą, czasem niektóre zostają urwane i niedopowiedziane. W książce bardzo urzeka to, że autorka pozwala dojść do głosu każdemu bohaterowi, także bytom przyrody i nienarodzonym dzieciom. Ciekawe jest również niewprowadzanie postaci wprost – dochodzenie do tego, o kim jest dany fragment, jawi się czytelnikowi niekiedy jako łamigłówka. Z pewną łatwością można przyrównać taki mechanizm lektury do przeżywania życia. Życia nie warto zwyczajnie przechodzić, ale nieustannie je reinterpretować. Jego składowymi są najczęściej trudne do rozwiązania zagadki, problemy, nieoczywiste narracje – i w taki sposób też prowadzi nas fabuła książki. Nie czyta się jej z łatwością, wymaga uważności i łączenia zdarzeń, czasami także naszej intuicji.

Fiedorzuk przedstawia ludzkie relacje z ogromną drobiazgowością – tak samo opisuje także miłość, która ujawnia się w najmniej oczekiwanych okolicznościach, na którą trzeba być zawsze gotowym. Autorka oddaje głos także ludzkim tragediom. Najbardziej boli jednak, kiedy mówią cisza i bezsilność; kiedy bohaterowie uwikłani w różne relacje, w stosunku do siebie potrafią jedynie milczeć. Następuje głucha, nieprzeparta cisza, niemoc, bo tak musi być, bo śmierć jest normalna, przemijanie niezauważalnie szybko przemyka przez karty książki, a my, czytelnicy czekamy na dobrą wiadomość, jak te matki czekają na narodziny swoich dzieci. Wszystko jest czekaniem.

Pod słońcem zadaje ważne pytania i podnosi kwestie, na które nie ma oczywistych odpowiedzi. Na tym polega waga tej powieści. Autorka, próbując uchwycić różne punkty widzenia, pokazuje niełatwe i pełne pęknięć życie jako baśń. Zachwycający jest fragment książki opowiadany z punktu widzenia sowy, która z góry skazana jest na niepowodzenie – przeżywamy w tym momencie świat oczyma ptaka, chociaż nie wiemy lub nie mamy pewności, jak zwierzęta odczuwają czas, przestrzeń i emocje. Fabuła ukazuje również często niedostrzegalne zależności między światem ludzi a przyrodą.

Książka uwrażliwia na świat. Pokazuje, że człowiek uwikłany jest w sieć biologicznych relacji i nie ucieknie od nich, choćby wyjechał daleko – tak, jak zrobił to główny bohater. Przypomina, że przemija wszystko. Wskazuje na paradoks cykliczności: każdy wschód słońca, chociaż

mnoży serię tych samych dni, jest niepowtarzalny. O tym, że „dzisiaj” jest pierwszym dniem końca naszego życia, wiedzą rośliny, ptaki, skrzypiące zimą jezioro. Czytajmy zatem tę niekonwencjonalną powieść, żyjmy nasze życia i pozwólmy, aby w pewnym momencie kartki młodości i starości zlepiły się w jedno, jak stało się to u Michała.

Wrzuceni w siebie, zależni od natury, ale będący jej częścią, jesteśmy poddani cyklowi wschodów i zachodów. To nam mówi powieść Fiedorczyk – wszystko jest tragicznym, ale jakże pięknym uczestnictwem w życiu pod słońcem.

Mija wszystko, każda książka kiedyś się kończy.

PASZPORT „POLITYKI” 2019

ZIMOWŁA

Dominika
Słowik

znak

WERONIKA NAJMOWICZ

**UTOPIENI
W MIODZIE**[Dominika Słowik, *Żimowla*, Znak 2019]

Czytaniu *Żimowli* towarzyszy wiele różnych emocji, ale tą, która zostaje praktycznie do końca, jest niepokój. Czytając nową powieść Dominiki Słowik, siedziałam na balkonic, nie tyle korzystając z pięknej pogody, co dostosowując się do zakazu wychodzenia z domu. A jednak ów niepokój nie wiązał się z globalną niepewnością wobec pandemii, ale z podejrzaną atmosferą pustego mieszkania. Podejrzanę wydawało mi się każde dosłyszane skrzypnięcie desek drewnianej podłogi, trzaśnięcie drzwi albo dostrzeżony w kuchni cień. Wiedziałam, że przecież nic dziwnego się nie dzieje, ale na chwilę udzieliła mi się aura niezwykłości, którą roztoczyła pisarka.

CUKROWSKI „ANTROPOCENTRYSTA”**PRZEWIDUJE APOKALIPSĘ**

Niepokój w *Żimowli* budowany jest na kilka sposobów. Wielokrotnie odczuwają go bohaterowie. Głównym „bojącym się” jest Marek Niedziółka – ojciec narratorki, hipochondryk, postać słaba, atencyjna, wymagająca opieki i troski. Jednocześnie niepewny siebie mężczyzna to jedyny z domowników, który potrafi okazywać uczucia drugiej osobie, wykazać się empatią, a nawet (co wydaje się szczególnie dziwne w tej rodzinie) posunąć się do kontaktu fizycznego i przytulić córkę. Niekokój w przypadku bohatera wyrasta ze strachu przed silną teściową i ludźmi w ogóle, przed zapomnieniem, a przede wszystkim: przed śmiercią.

Ojciec narratorki część swojego życia przepracował jako księgowy, co zdecydowanie nie było zajęciem jego marzeń. Właściwie wybrała mu je (opłaciła kursy i następnie załatwiła stanowisko w urzędzie) despotyczna teściowa. Jednak po wejściu Polski do NATO, kiedy ojczyzna znalazła się już „na Zachodzie [...] może nie na Zachodzie, ale na pewno trochę mniej na Wschodzie”, Marek Niedziółka przeszedł transgresję, w której efekcie został wróżem Arrewaldem. Zaczął świadczyć przeróżne usługi z pogranicza astrologii, chiromancji i geomancji: układał horoskopy, wróżył z ręki, za pomocą różdżki znajdował w ziemi żyły wodne, w ten sposób wyznaczając swoim klientom teren pod budowę domów lub fabryk.

Bohater na różne sposoby starał się wyjaśnić sobie świat, nadać sens wydarzeniom, które działy się wokół niego, prawdopodobnie licząc na to, że uda mu się odnaleźć spokój i przestać się bać. Jednak ani gorliwe odprawianie modlitw i obrzędów katolickich, ani szukanie odpowiedzi w gwiazdach i liniach papilarnych nie przyniosło mu ulgi. Nie udało mu się bowiem zawierzyć żadnej z wyznawanych, „nadprzyrodzonych sił”. Dlatego też ostatecznie nie wybrał jednej, tylko praktykował obie. Nie zgłębiał, nie pogłębiał, tylko właśnie praktykował. Praktyka ta miała głównie charakter fasadowy. Bohaterowi nigdy nie udało się wykształcić żadnej formy duchowości. Jego egzystencjalny lęk pozostawał bez ukojenia.

Bał się końca świata, ale w takim bardzo prywatnym wymiarze - nie o świat chodziło, ale o to, że on też wtedy umrze. Ścierały się w nim dwie wizje człowieka. Z jednej strony człowieka, który „nazywa”, wydobywa z niebytu bądź nieświadomości: zwierzęta, rośliny, przedmioty. Ale z drugiej strony, w rewersie myślenia „kreacyjnego” (a może również: uwypuklając zgubne skutki takiego myślenia), oskarżał człowieka o negatywne wpływanie na prawo natury, obwiniał go o zmiany klimatyczne, wysychanie wód, wymieranie gatunków, katastrofy nazywane naturalnymi. Nie wiązało się to jednak z podjęciem przez bohatera konkretnych działań. Bo dla Marka Niedziółki konstytutywne jest nie działanie, lecz strach.

SYRENA JAKO

EMANACJA BABIZNY

Kiedy narratorka skupia się na ojcu, uwadze umyka postać matki. Marlena (imię zostało jej nadane „na cześć Marksa i Lenina”) Sarecka to chłodna pracowniczka muzeum. Tkwi w małżeństwie z przyzwyczajenia, nie uczestniczy szczególnie w życiu rodzinnym, większość czasu spędza poza domem. Wydaje się, że *Zimowla* to w ogóle nie jest jej opowieść, że znajduje się poza tą historią, w dużej mierze nie dotyczy jej niezwykłość, która dzieje się w miasteczku. Ta intuicja znajduje potwierdzenie na końcu powieści, kiedy okaże się, że bohaterka stworzyła swoją wersję historii.

A jest ona także syreną – tak podczas kąpieli w rzece w dzieciństwie widzi ją córka. Z perspektywy dziecka mama-syrena bardziej przypomina andersenowską Małą Syrenkę niż uwodzicielkę o silnym głosie. Bohaterka wyrzeka się swojej postaci, wyrzeka się niezwykłości i przemienia w człowieka. W tej wersji historii wydaje się pozbawiona głosu, ale ostatecznie sama go sobie przyznaje.

Matka narratorki jest spychana na drugi plan przez ekspresyjną i jednocześnie ekspansywną osobowość swojego męża, ale przede wszystkim przyćmiewa ją własna matka – towarzyszka Sarecka. Marlena, jako panna, funkcjonowała w Cukrówce przede wszystkim jako córka towarzyszki. W rodzinnym mieście nie udaje się jej (może nawet nie próbuje?) zaistnieć osobno, dzieje się to dopiero po przeprowadzce i sukcesie naukowym. Dlatego nie przyjęła babizny.

Babizna kojarzy się z feministyczną ojcowizną, tym, co dziedziczy się po przodkini i co przekazuje się potomkini. W najbardziej dosłownym sensie babka Sarecka zostawiła dom i działkę. Zostawiła także historię o bagnecie, która dowartościowuje wiarę w sen i przeczucie, przy jej jednoczesnym nieposzanowaniu religii i wiary katolickiej. Ale przede wszystkim przekazała przekonanie o pewności swoich sił i możliwości. Sama o wszystko musiała walczyć z mężczyznami – o szacunek, karierę, pozycję. I wygrywała.

Mimo że występują tutaj co najmniej trzy syreny (trzecią jest nastoletnia Magda, której śpiew i nocne spacery wpłynęły na życie wszystkich mieszkańców Cukrówki), nie widzę w *Zimowli* koncepcji

siostrzeństwa. Wątek feministyczny jest wyraźny, ale podany jakoś inaczej, niż można by się tego spodziewać. Bohaterki osobno prowadzą swoje „projekty”, nie oczekując wzajemnego wsparcia i raczej go nie zapewniając. A jednak każda z nich wypełnia narzucone sobie zadanie.

OPOWIEŚĆ

O POTRZEBIE PORZĄDKU

Historia opowiedziana przez narratorkę *Zimowli* jest wielowątkowa, łączy w sobie różne gatunki, prezentuje kilka płaszczyzn czasowych i ma szeroko zakrojoną problematykę. Wszystko to służy przedstawieniu kłopotu z rzeczywistością. Czytelnik zanurzony w świat stworzony przez Słowik czuje się jak topiony w miodzie, bardzo trudno jest mu się poruszyć, nie mówiąc już o utrzymaniu na powierzchni. Gęstość wyliczeń; powroty do przeszłości po to, żeby przedstawić dokładnie losy każdej z postaci; astronomiczne i wszystkie inne metafory i skojarzenia; dywagacje o naturze świata i roli przypadku – wszystko to sprawia, że uwolnienie z opowieści i obiektywne spojrzenie na nią wydaje się niemożliwe. Że traci się dystans i perspektywę. Łatwo wtedy uwierzyć w to, co się zdaje.

Słowik nie zostawia czytelników z uczuciem niepokoju. Powoli wyciąga ich z lepkiej (skojarzenia z miodem nieprzypadkowe) niepewności, wskazując opowiadanie jako jedyne remedium na nią. Problem stanowi zawodna, nicobiektywna pamięć, która zaciera się z biegiem czasu, jest krucha, podatna na emocje i manipulację. Najlepszym sposobem na uporządkowanie opowieści złożonej ze wspomnień jest jej opowiedzenie, najlepiej drugiej osobie. Nie jest to pomysł nowy. Ale jakoś zaskakuje przypomnienie, że cały czas aktualne jest szukanie rozwiązań tych samych niepewności i wątpliwości.

JOANNA B. BEDNAREK

LEŚNA NIENORMALNOŚĆ

[Tekst ukazał się w „CzasieKultury.pl” 20 kwietnia 2020.]

20 kwietnia 2020 roku przestały obowiązywać podyktowane izolacją społeczną i walką z pandemią państwowe regulacje zakazujące wejścia do lasów i parków. Odzyskaliśmy prawo do lasu. 19 kwietnia dostałam na ten temat specjalny SMS alertowy od Rządowego Centrum Bezpieczeństwa – informował o kolejnej zmianie zasad i zaczynał się od słów: „Uwaga! Od 20.04 otwarte parki i lasy”. Rząd określił to jako „nową normalność”.

Spróbujmy skrótowo uporządkować podstawowe fakty. Najpierw Lasy Państwowe, po rekomendacji Rządowego Zespołu Zarządzania Kryzysowego, na którego czele stoi premier, wprowadziły zakaz wstępu do lasów w dniach 3-11 kwietnia z powodu pandemii koronawirusa. Zdaniem prawników zakaz pozbawiony był podstaw: ustawa o lasach ściśle określa powody, dla których można zamknąć las. Lasy Państwowe nie powoływały się na ustawę o lasach, ale na ustawę o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19 oraz na rozporządzenie z 31 marca 2020 w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem stanu epidemii (w którym znalazł się zapis: „zakazuje się korzystania z pełniących funkcje publiczne i pokrytych roślinnością terenów zieleni”). Prawna interpretacja była jednak nieściśła i wzbudziła szeroką dyskusję. Na mocy wspomnianej ustawy premier może wydać polecenia Lasom Państwowym, ale zgodne z obowiązującym prawem (powracała więc kwestia zapisu w ustawie o lasach). W sprawie wypowiedział się Rzecznik Praw Obywatelskich. Niezależnie od prawnych wątpliwości, zakaz oburzył Polaków i Polki – masowo pojawiały się określenia typu „wkurzenie”, „nonsens”, „skandal”.

Powstała internetowa petycja obywatelska „Żądamy cofnięcia zakazu wstępu do lasu”, którą w ciągu pierwszego tygodnia podpisało ponad 163 tysiące osób. Wszelkie interwencje okazały się nieskuteczne. 10 kwietnia rząd wydał kolejne rozporządzenie, którym wydłużył zakaz wstępu do lasów do 19 kwietnia: „zakazuje się korzystania z [...] pełniących funkcje publiczne terenów leśnych”. W ten sposób zakaz został rozszerzony z lasów administrowanych przez Lasy Państwowe (około 76 procent własności wszystkich lasów w Polsce), także na lasy miejskie i publiczne tereny zieleni, między innymi parki. (Wątpliwości prawne, choć od 10 kwietnia nieco mniejsze, towarzyszyły zakazowi do końca). Sprawa trwała więc stosunkowo krótko i okazała się groteskowa w swej formie. Powiedzmy to od razu i wprost: zamknięcie lasów dla walki z epidemią było bez sensu.

Wydawałoby się, że wobec powyższego pisanie niniejszego tekstu jest stratą czasu – bez sensu jest pisać o czymś, co było bez sensu (i właśnie: było, minęło, czas przeszedł). Nie chcę jednak pisać o samym zakazie wejścia do lasu – spróbuję zastanowić się nad tym, co sprawiło, że ten zakaz tak bardzo nas oburzał.

CZYM JEST LAS?

Będzie to zatem – krótka, z konieczności niepełna, niekompletna i uproszczona – próba uchwycenia splotu znaczeń, jakie w trakcie dyskusji o dostępie i prawie do lasu się odśloniły. Naświetlę punktowo kilka elementów tworzących ową konstelację.

Zacząć należy od tego, że lasy określone zostały jako ogólnoludzkie dobro, do którego prawo ma każdy człowiek. Percepcja „lasu” w XX wieku wskazywała na dwie kwestie: po pierwsze, że za istotne uznano ujmowanie go w rozmaite koncepcje i definicje; po drugie, że owe definicje i koncepcje nie poprzestają na kwestiach środowiskowych, ale obejmują także konteksty społeczne, kulturowe, historyczne, ekonomiczne i polityczne. Doszło zatem do „instytucjonalizacji natury” – wpisania jej w określone regulacje „wiedzowe”, prawne i państwowe. Państwo wywiera konkretny wpływ, odbijając w środowisku swoje podstawowe idee i mechanizmy funkcjonowania. Inaczej mówiąc: narzuca mu swoją wizję kulturową i zaprzęga go do realizacji swoich politycznych celów.

Właściwością polskiej kultury prawomocnej jest traktowanie lasu – czy też szerzej: natury (zapisuję to słowo ze świadomością konieczności krytycznego podejścia do niego – jako że „Natura” jest tworem dyskursywnie wytwarzanym; dla opisywanej w tekście kultury prawomocnej istotne jest jednak utrzymanie dotychczasowego modelu, traktującego „Naturę” jako naturę – coś faktycznego, a także trwałego, osobnego, dysponowalnego) – jako tła. W takiej optyce las sam w sobie nie przedstawia w pełni swojej wartości – trzeba dodać do niego poza-leśne kategorie, opowiedzieć go za pomocą języka innego niż jemu właściwy (biologiczny), ująć go w odpowiednie ramy. Stąd las przedstawiany jest nam poprzez nakładane na niego filtry: narodowo-historyczny, patriotyczny, ekonomiczny (kapitalistyczny), polityczny et cetera.

LASY NARODOWE

Jednym z podstawowych, najpowszechniej nakładanych na las filtrów jest filtr historii. Agata Agnieszka Konczal określiła to zjawisko mianem „polskiego leśnego mitu narodowego” („Czas Kultury” 3/2017). Polega on na utożsamieniu dziejów lasu z dziejami Polski – i na odwrót. Las staje się dziedzictwem narodowym nie w sensie swojej wartości esencjalnej, ale jako substytut historii. Dbanie o przyrodę ma w tej optyce wartość dlatego, że jest równocześnie manifestowaniem pamięci (a więc, pośrednio, także zarządzaniem nią).

W zakazie wejścia echem pobrzmiwało, że władza stawia siebie w pozycji jedyne go decydenta o owej wartości. To bowiem ta sama władza, która z polityki historycznej uczyniła podstawowy program i gwarancję stabilności rzeczywistości. Las staje się więc miejscem schronienia wielbionych narodowym kultem „Żołnierzy Wyklętych”, świadkiem śmierci partyzantów i walczących z zaborcami powstańców, faktycznym i symbolicznym budulcem potęgi państwa polskiego od czasów Piastów. W owym dyskursywnym narodowym lesie nie znajdziemy za to – w przeciwieństwie do rzeczywistości – zrujnowanych cmentarzy ewangelickich i żydowskich, pozostałości po cerkwiach, śladów wyzysku i klasowego rozwarstwienia (o których opowiada chociażby konflikt o las serwitutowy opowiedziany przez Reymonta w *Chłopach*). To bowiem las należący nie do społeczeństwa (inkluzywny wielości, zbioru różnic), lecz do narodu (monolitycznej jedności).

W ramach odgrywania mitu narodowego las zostaje zatem utożsamiony z konkretną, martyrologiczną wizją historii. Jest tłem – i symbolem – dążenia do niepodległości. Ten sam las po 1989 roku – w warunkach wolności – staje się symbolem bezpieczeństwa i suwerenności Polski. O tym, w jaki sposób mechanizm zarządzania lasem (naturą) oraz narodem jako ciałami obcymi stanowi dla aktualnej władzy sposób na osiągnięcie i umacnianie pożądanej przez siebie formy suwerenności, pisał Przemysław Czapliński („Czas Kultury” 2/2018). (W tym kontekście zauważyć należy, że trzecim takim „bytem obcym” opisywanym przez Czaplińskiego było kobiece ciało – w świetle tych rozważań nie bez związku okazuje się, że równoległe do utrzymywanego zakazu wejścia do lasu Sejm debatował nad projektami ustawy ustanawiającej absolutny zakaz aborcji i badań prenatalnych oraz zakazującej edukacji seksualnej).

LEŚNY OPÓR

Jednak w ciągu ostatnich trzech lat las zmienił swoje konotacje: dla sporej grupy Polek i Polaków stał się symbolem oporu nie przeciw zaborcy, zewnętrznemu agresorowi, lecz władzy realizującej wobec natury praktyki wewnątrz-zaborcze. Stało się to za sprawą konfliktu o Puszcę Białowieską. Wiosną 2017 roku na polecenie ministra pracownicy Lasów Państwowych rozpoczęli intensywną wycinkę drzew, mającą rzekomo zapobiec rozprzestrzenianiu się kornika drukarza. Zanim skuteczność osiągnęły interwencje Unii Europejskiej i UNESCO w tej sprawie, liczba ścinanych drzew zmalała dzięki bezpośrednio zaangażowanym w protesty ludziom: obywatelom, którzy przywiązywali się do drzew i do maszyn, którzy podejmowali blokujące wycinkę (i łamiące prawo) spacerzy, którzy wychodzili na ulice miast, by manifestować sprzeciw, wspierali akcję finansowo czy wreszcie pisali teksty i organizowali happeningi.

Bardzo istotnym elementem dla strategii ministerialnej był wówczas ogłoszony zakaz wstępu do lasu – rzekomo z powodu zagrożenia dla bezpieczeństwa i życia – który faktycznie ukryć miał przed wiedzą publiczną skalę wycinki i dokonujące jej harwestery.

Dla strony ministerialnej podstawowym celem działań była nie tyle wycinka, ile zagarnięcie puszczy jako całości – na którą składał się

nie tylko drzewostan (a więc terytorium i zasób), ale także regulacje prawne, kulturowe tradycje, kształtowanie społecznej świadomości natury. Doszło do próby zawłaszczenia znaczeń symbolicznych: z kolejnych wypowiedzi strony rządowej wynikało bowiem, że puszcza powiązana jest silnie z jedną, konserwatywną tożsamością (nie może zatem do niej odwoływać się zróżnicowana wspólnota). Im bardziej spór o puszcę stawał się sporem kulturowym, im silniej przesuвано naturę w stronę tradycji, im więcej porządków symbolicznych do niej dopisywano, tym bardziej organizowano całość znaczeń wokół słownika konserwatywno-prawicowego. Stąd dla obrońców puszczy konieczne okazało się przechwycenie pojęcia „narodu” i powoływanie się – zarówno hasłowo, jak i prawnie – na obronę dziedzictwa narodowego.

Zakaz wejścia do lasu w 2020 roku przypominał nam, że władza zagarnia nie tylko dyskurs historyczny o lesie, ale nadaje sobie prawo do powiązania go z konkretną tożsamością i światopoglądem. W ramach tego niejako symbolicznie „tracimy prawo” do lasu – nie ze względu na wprowadzane zakazy, ale na dominującą narrację o przynależności i właściwościach lasu. Gdyby nawet na tym poprzestać – tylko i aż na lesie i nakładanych na niego przez władzę porządkach – byłoby to już wystarczająco, by się oburzać i buntować.

DZIEL I RZĄDŹ

Ale jednocześnie zakaz wejścia do lasu – jeśli skojarzony został z regulacjami z wiosny i lata 2017 roku – stawał się „podejrzany”, jako że być może znów miał coś maskować. Tym razem nie chodziło jednak o prowadzone w lasach prace, o ukrywanie przed wiedzą publiczną niszczyielskich maszyn, ale o zasłonięcie niemocy.

I wydaje się, że zamiast ją ukryć, zakazanie wstępu do lasu faktycznie ową niemoc odsłoniło: pokazało, że państwo, które nie jest zdolne prowadzić działań realnie odpowiadających sytuacji zagrożenia i społecznym potrzebom, sprawuje władzę poprzez działania pozorowane – te, aby mogły być „skuteczne”, muszą pozostać na marginesach realnego problemu. Ten mechanizm maskujący szczególnie widoczny jest w polityce ekologicznej rządu – regulacje z 3 kwietnia 2020 roku dołożyły więc kolejny rozdział do nieracjonalnych decyzji wobec środowiska.

Od 2015 roku obserwujemy bowiem, że działania rządowe wobec środowiska pozbawione są logiki: walka ze smogiem toczy się przy utrzymaniu gospodarki węglowej; chorobę dzików (afrykański pomór świń) powstrzymuje się poprzez strzelanie, które rozprasza stada i rozprzestrzenia zarazę; plan powstrzymania kornika „zabijającego” drzewa w puszczy realizuje się, wycinając jej drzewostan; po zaprzestaniu wycinki, która uznana została przez Trybunał Sprawiedliwości UE za niezgodną z prawem, rozpoczyna się wycinkę kolejnej – Puszczy Karpackiej (ale też drzew na Mierzei Wiślanej). Także teraz: walka z koronawirusem toczona jest przy pomocy zamykania lasu – choć przecież wiedząc o tym, że powstanie wirusa jest ściśle powiązane z kapitalistycznym wylesianiem pod przemysłowy model rolnictwa (chodzi o produkcję zwierzęcą; ciekawie mówił o tym Rob Wallace), powinniśmy raczej dyskutować nad radykalną zmianą modelu produkcji żywności, końcem globalnego agrarnego monopolu, wsparciem cenowym dla lokalnych gospodarstw i programami konsumenckimi wzmacniającymi ekologiczną produkcję. Wyrazistość problemów środowiska zderza się zatem z irracjonalnością i faktyczną antyekologicznością strategii legitymizowanej przez stanowione przez rząd prawo.

Bo jak to – pytano w licznych dyskusjach w mediach społecznościowych – społeczna izolacja poprzez zamknięcie lasów? Być może jednak w owym działaniu bez sensu, w groteskowym rozporządzeniu ukryta była pewna logika. Wyłoni się ona, jeśli zgodzimy się, że pod pozorem unikania skupiania się ludzi faktycznie chodziło o pokazanie (po raz kolejny), że możliwe jest panowanie nad naturą. Słowo „izolacja” jest tu niezwykle znaczące – ale bardziej niż o izolację człowieka od człowieka chodzi o izolację człowieka od natury. Chciano zatem pokazać, że za pomocą prawa – przemawiając językiem performatywów – można wciąż naturę od społeczeństwa oddzielić, zamknąć ją, rozdzielić ich wzajemny wpływ na siebie. Nie jest przy tym niewyobrażalne, że tego typu zapanowanie nad naturą prowadzić mogłoby do negocjacji i „dogadywania się” z koronawirusem. Skoro można odizolować przestrzeń natury i zdecydować, że człowiek nie ma do niej wstępu – w rewersie można próbować wydzielić miejsca, gdzie to wirus nie ma wstępu, albo w których przynajmniej działa na innych zasadach. Mogłoby to posłużyć uzasadnieniu wielu kolejnych decyzji (przykładowo: faktu,

że w miejscach kultu religijnego przebywać może jednocześnie więcej osób niż w sklepach o tej samej powierzchni).

Tymczasem jest zupełnie nie tak, o czym przecież wiemy: podział na „naturę” i „kulturę” nigdy w rzeczywistości nie miał miejsca, jest fantazmatem. Jego uparte podtrzymywanie potrzebne jest dla prowadzenia i uzasadniania rabunkowej polityki eksploatacji środowiska, destrukcyjnego w skutkach procesu produkcji i wyczerpu „tanich” zasobów. Jak analizują Jason W. Moore i Raj Patel, w tym celu wczesny kapitalizm uczynił użytek z – podpowiadanego wówczas przez tradycję filozoficzną – rozróżnienia na „społeczeństwo” i „naturę”, przekształcając je w niepodważalną zasadę organizacyjną. Wprawione w ruch maszyny pojęciowe pozwoliły zapanować nad definicjami, którymi kapitalizm legitymizował (i legitymizuje nadal) swoje działania. Podobny gest wykonać pragnie polski rząd: zapanować nad definicjami, czyniąc użytek z rozróżnień i podziałów dostarczanych przez tradycję i wytwarzanych na drodze prawa. „Natura” nie istnieje i nigdy nie istniała; ale funkcjonuje jako narzędzie do utrzymywania *status quo* kapitalistycznej władzy.

POSZERZENIE DEMOKRACJI

Było krótko po wprowadzeniu zakazu, kiedy znajomy zapytał na Facebooku retorycznie, lecz przenikliwie: jaki to ustrój, w którym buntem przeciw władzy jest wejście do lasu? Pytanie to zamyka w sobie sens wszystkich mechanizmów, o których tu mowa – i należy je, jak sądzę, potraktować całkiem serio. Gdyby próbować odpowiedzieć, należałoby rzec, że coraz bardziej właśnie nasz ustrój: znajdujący się w stanie przesilenia, niemożliwy do całkowitego określenia; dziwna mieszanka demokracji, kapitalizmu i autorytaryzmu. To ustrój, w którym konieczne staje się „nieposłuszeństwo ekologiczne” – działania dążące do Latourowskiego upolitycznienia natury: wpuszczenia jej reprezentantów do parlamentu. Nieposłuszeństwo ekologiczne nie postuluje zniesienia konkretnego przepisu prawnego (choćby i zakazu wejścia do lasu), ale domaga się przemodelowania demokracji poprzez włączenie w nią natury. Walczy tym samym o zatrzymanie autorytarnych dążeń polityki, podważenie neoliberalno-kapitalistycznego modelu państwa, przemodelowanie światowej gospodarki, wymianę zbiorowych tożsamości,

a także o wytworzenie innego pojęcia wspólnotowości. Domaga się uwzględnienia lasów, wód i zwierząt jako pozaludzkich uczestników polityki, realnego uwzględniania ich w prawodawstwie, wpuszczenia do parlamentu reprezentantów przemawiających w ich imieniu.

W tym sensie - w interesie pozaludzkiego podmiotu, jakim jest las - wstęp do niego faktycznie należałoby teraz ograniczyć, ale nie ze względu na stan pandemii, lecz stan suszy i spowodowane przez to zagrożenie pożarowe.

NOWA NORMALNOŚĆ

Obok radości z możliwości wejścia do lasu powinniśmy zatem oburzać się, że władze państwowe nam na to „pozwalają”. Nie ze względu na zagrożenie pożarowe (choć w trakcie dzisiejszych i przyszłych spacerów warto o suszy pamiętać), ale ponieważ utrzymuje się w ten sposób dotychczasowy model decydowania o wzajemnych powiązaniach społeczeństwa (lepiej: narodu) i lasu (szerzej: natury). Dlatego właśnie niepokojące jest określenie otwarcia lasów mianem „nowej normalności” (pomijając w tym momencie fakt, że „normalność” to kolejny nieistniejący i sztucznie wytwarzany byt, na omówienie czego nie ma miejsca w tym tekście). Gdzieś na marginesach swojego znaczenia zdaje się ono obiecywać, że „normalność” gwarantowana będzie poprzez zakonserwowanie dotychczasowych mechanizmów - w ramach których to władze państwa decydują o stopniu naszych powiązań z naturą oraz o nakładanych na nią znaczeniach. Dopóki tak będzie, raczej nie mamy nadziei na realną walkę ze smogiem (który wciąż można sprowadzić z powrotem do „problemu teoretycznego”), z suszą i pustynnieniem kraju („taki mamy...” zmieniający się „...klimat”), konwersję szkodliwej polityki energetycznej (utrzymywania gospodarki węglowej, „naszego czarnego złota”), wypracowanie potrzebnych regulacji dotyczących praw zwierząt (zamiast poszerzania praw tych, którzy zwierzęta zabijają i chcą wciągać w tę praktykę dzieci), faktyczne uwzględnianie w działaniach politycznych i ustawodawczych katastrofy klimatycznej...

W „nowej normalności” las wciąż nie stanowi zbioru drzew, krzewów, porostów, grzybów, nadal nie jest sojusznikiem klimatycznym, pozaludzkim uczestnikiem demokracji, ale pozostaje składem tanich

zasobów, zbiorem narodowych dyskursów, rezerwuarem tradycji i przestrzenią ich celebracji, symbolem martyrologicznej historii, a przede wszystkim – areną pozorowania i testowania rządowej sprawczości.

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI

**OCZY NIE MOGA
JUŻ NIE WIDZIEĆ**

[Tekst opublikowany został pierwotnie przez Goethe-Institut. Ukazał się w ramach serii „Danachgedanken”, w której myśliciele i artyści ze świata zastanawiali się między innymi nad tym, co oznacza pandemia dla społeczeństwa – aktualnie i w przyszłości.

Instytutowi Goethego dziękujemy za zgodę na publikację w książce festiwalowej.]

Pod koniec marca, w trzecim tygodniu pandemii, szedłem przez Poznań. Ponad półmilionowe miasto było melancholijnie puste. Szedłem ulicami, a rzeczywistość wyglądała nierealnie. Mijałem zamknięte przedszkola, szkoły, teatry, muzea, restauracje, gabinety dentystyczne. Żywe miasto jest zawsze bardziej procesem niż strukturą. To miasto było tylko strukturą.

Na głównej ulicy, zwanej ponuro poznańską Wall Street, przy której banków jest więcej niż gróźb w monologach Trumpa, coś mnie zatrzymało. Banki były otwarte. Wszedłem do jednego z nich. Przy drzwiach strażnik pilnował, by klienci przemyli ręce płynem odkażającym i by nosili maseczki. A także, by do środka nie weszło ich więcej, niż przewidywały przepisy. On liczył ludzi, kasjerzy liczyli pieniądze. Wszystko się zgadzało.

A zarazem nic się nie zgadzało. Szkoły i gabinety lekarskie zamknięte – banki otwarte. Moje pierwsze zdziwienie szybko zaspokoili się ponurym wnioskiem, że mamy wolny rynek, a nie wolny świat. Na tym rynku kapitalizm to eksterytorialny i ekstemporalny obrót gotówki, którego nie dotyczą przepisy czasów pandemii. Ale potem przyszła druga refleksja: zdziwiło mnie to, że w ogóle dziwiłem się otwartymi bankami. I nagle zrozumiałem, że zobaczyłem swój dotychczasowy sposób patrzenia na rzeczywistość. Zobaczyłem różnicę.

Dlatego symbolem pandemii powinny stać się oczy. Oczy ponad maską zakrywającą usta i nos. Oczy odkryte, otwarte, zdziwione. Oczy, które wreszcie mogą widzieć. Albo nawet: oczy, które nie mogą nie widzieć.

Epidemia przenicowała przecież nasz świat. Wywróciła rzeczywistość podszewką na wierzch. Przed pandemią praca i konsumpcja były dwoma podstawowymi wymiarami naszego życia. Za sprawą pandemii zobaczyliśmy, jak dalece można zredukować czas spędzany w miejscu pracy i w sklepach. Przybysz z obcej planety obserwujący Europę od stycznia do maja roku 2020 doszedłby do wniosku, że nasza praca i nasze zwyczaje zakupowe to kulturowe obsesje. Napisałby w raporcie do swojej cywilizacji: Europejczycy za sprawą wychowania i otoczenia cierpią na kompulsje, polegające na półproduktywnym przesiadywaniu w pracy i nabywaniu niekoniecznych przedmiotów; mądre władze zatroskane zdrowiem społeczeństwa wprowadziły zakaz wychodzenia z domów. Zakaz wyleczył ludzi z podwójnej kompulsji.

Pandemia udzieliła nam przecież lekcji życia. W czasie epidemii dziesiątki i setki razy przekonywaliśmy się, że większość rzeczy potrzebnych mamy, a to, czego nie mamy, jest w większości niepotrzebne. W czasie epidemii mogliśmy też zobaczyć naszych najbliższych – z bliska, oko w oko, twarzą w twarz. Widzieliśmy ich wcześniej milion razy. Teraz jednak okoliczności pozwoliły nam spojrzeć na nich nie jako na ludzki dodatek do pracy czy towarzyskie zwieńczenie tygodnia, lecz jako treść naszego życia. Proporce się odwróciły: umiejętność bycia ze sobą okazała się ważniejsza i trudniejsza od pracy zarobkowej, pielęgnowanie przyjaźni zaczęliśmy postrzegać jako poszerzanie i wzmacnianie rodziny, nawiązywanie serdecznych relacji z sąsiadami nabrało charakteru wrastania w rzeczywistość.

Oczywiście, wszystko to odbywało się pod przymusem. A w ramach tego przymusu 300 tysięcy zarażonych zmarło, setki tysięcy straciły pracę lub oszczędności, miliony odcieło od opieki zdrowotnej. Zarazem właśnie ta różnica między dobrymi i złymi konsekwencjami epidemii pozwala zobaczyć, jak mógłby i jak powinien wyglądać nasz świat. Jest w tym okrutny paradoks: globalna choroba narzuciła warunki życia korzystniejsze od tych, które wytworzyliśmy sami. Choroba przekazała nam wirus zdrowia. Pokazała kierunek ocalenia.

Uświadomiła, jak potężnej – podobnej do choroby i zupełnie od niej innej – siły trzeba, aby odzyskać życie. Siła ta powinna różnić się od pandemii, bo nie powinna uśmiercać. Ale musi być zarazem podobna do niej w natychmiastowości uruchomienia zmian. Czy dysponujemy taką siłą?

SAMOTNICY
W KOLABORACJI
Z AUTORYTARYZMEM

Ivan Krastev w tekście *Siedem wczesnych lekcji z koronawirusa* wylicza całkiem precyzyjnie nicodległe konsekwencje pandemii. Przewiduje, że kryzys wzmocni legitymację dla silnego państwa; przywróci myślenie o bezpieczeństwie w kategorii kontroli państwowych granic; zatwierdzi „autorytaryzm big data”, polegający na wykorzystaniu cyfrowej inwigilacji i analizy danych do kontroli społecznej.

Nieco bardziej marudnie ujął rzecz Michel Houellebecq. W liście udostępnionym rozgłośni radiowej France Inter napisał: „Nawet przez pół sekundy nie wierzyłem w deklarację, że [po koronawirusie] «nic nie będzie takie jak przedtem»”. Wymuszona przez pandemię praca zdalna przyspieszy procesy technologiczne, które doprowadzą do dalszego izolowania ludzi od siebie. Również w życiu codziennym epidemia dostarczy nam mocnego alibi, aby jeszcze bardziej oddalać się od innych. „Po zniesieniu ograniczeń nie obudzimy się w nowym świecie; będzie tak samo, tylko trochę gorzej”.

Co możemy przeciwstawić tym diagnozom? Nie przytulimy się przecież do człowieka, jeżeli podejrzewamy, że nosi wirusa. Nie zaprotestujemy przeciw łamaniu demokracji, jeśli uznamy, że demokracja jest zbyt słaba w obliczu przyszłych chorób masowych. Lęk prowadzi do rozpadu społeczeństwa i do agonii demokracji. Epidemia zamienia nas w samotników kolaborujących z autorytaryzmem.

Ale może właśnie w samotności i lęku tkwi jakieś rozwiązanie. Oto w czasie epidemii zdobyliśmy niezwykle doświadczenie społeczne: przetestowaliśmy naszą zdolność do długotrwałej izolacji, do spędzania czasu w małych kręgach i do niesienia sobie nawzajem pomocy. Odkryliśmy drogę do większej samodzielności.

Doświadczenie to ma szerszy sens. Nasze wycofanie się ze sklepów i ulic, ograniczenie pobytu w pracy to potężna siła sprawcza. Nasza nicobecność to sposób oddziaływania. Do tej pory, gdy władze chciały posunąć się za daleko – w naruszaniu praw czy eksploatacji środowiska naturalnego – mogliśmy wyjść na ulice, aby zmanifestować sprzeciw. Teraz możemy nie wyjść. Możemy zostać w domach. Teraz już wiemy, że potrafimy to zrobić. Będąc osobno w domach, potrafimy być razem.

NIE MA POWROTU
DO NIENORMALNOŚCI

Moja nadzieja jest wąta. Opiera się na jednym przekonaniu: nie wrócimy do normalności.

Kiedy czytam w gazetach polskich, niemieckich, angielskich czy francuskich pytania o termin i warunki powrotu do normalności, odczuwam niepokój. Nie powinniśmy ani myśleć o powrocie, ani działać w imię powrotu. Nie da się wrócić do czasu „sprzed”, bo nikt nie wskrzesi kilkuset tysięcy zmarłych, nie odbuduje małych firm zrujnowanych przez pandemię, nie zwróci oszczędności utraconych w wyniku kwarantanny. Nawet jeśli uda się odtworzyć życie sprzed pandemii, będzie to już inne życie – podziurawione śmiercią, brakiem, pustką i niepewnością.

Ale powrót do normalności nie tylko jest niemożliwy. Jest również niepożądany. **Czas przed pandemią nie był przecież normalnością. Był nienormalnością.** Skąd wyłonił się wirus? Ze środka naszej normalności – z łańcucha żywieniowego, w którym człowiek stoi na szczycie, a cała reszta natury jest traktowana jako źródło akumulacji. W skład tej normalności wchodzi wycinanie lasów, niszczenie bioróżnorodności, zatrutowanie atmosfery. Do normalności należą także wielkie farmy, w których na całym świecie rocznie zabija się około 70 miliardów zwierząt. Gdzie podziewają się produkty uboczne farm – kości zwierząt, megatony odchodów, amoniak parujący z hałd obornika?

„Wszystko, co stałe, **rozpływa się** w powietrzu”, głosi pamiętna, tysiąc razy powtarzana, do cna zbanalizowana maksyma Karola Marksa. Jeśli słowo „rozpływa się” rozumieliśmy jako „znika”, to żyliśmy

w złudzeniu. Od dawna powinniśmy byli to rozumieć, ale być może dopiero pandemia podsunęła nam pod oczy korektę: „Wszystko, co stałe, **rozpyła się** w powietrzu”. Czyli zostaje z nami. Jest w atmosferze, w wodzie, w glebie. Maksyma Marksa powinna zatem brzmieć: „Wszystko, co rozpyła się w powietrzu, jest stałe”. Oto nasza normalność.

Właśnie z tej normalności wyłaniały się w ostatnich trzech dekadach kolejne pandemie: choroba szalonych krów w latach 90., epidemia ptasiej grypy w latach 2003–2006, epidemia SARS w latach 2002–2003, pandemia świńskiej grypy w latach 2009–2010, epidemia eboli w latach 2009–2010. Łącznie około miliona ofiar. Wszystkie te choroby miały charakter odzwierzęcy. Wszystkie przeniknęły do świata ludzkiego za sprawą postępującej dewastacji środowiska naturalnego. Analiza dwunastu zakaźnych chorób – w tym gorączki Zachodniego Nilu i boreliozy – wykazała, że ich masowość rośnie w miarę spadku bioróżnorodności. Ingerencja człowieka w przyrodę osłabia naturalne ekosystemy, a to ułatwia rozprzestrzenianie się patogenów. Pytanie na dziś nie brzmi zatem: „Czy?”, lecz: „Kiedy nadejdzie nowa epidemia?”. Utrzymywanie dotychczasowej „normalności” ułatwia odpowiedź. Brzmi ona: „Wkrótce”.

Dlatego wierzę, że nie wypiszemy na sztandarze: „Niech wróci normalność!”. Zdobyliśmy wiedzę i umiejętności, które powinny nam pomóc w stworzeniu nowej. Towarzyszy nam też nadzieja, potrzebna tym bardziej, im więcej przemawia przeciw niej.

FESTIWAL FABUŁY

17—21.11. 2020

17.11.2020 /wtorek

→ 17.00

„TO WRÓCI.
PRZESZŁOŚĆ
I PRZYSZŁOŚĆ
PANDEMII”

Debata II: Demokracja
i państwo w czasie pandemii.
Paneliści: Joanna Krakowska,
Beata Siemieniako,
Tomasz Markiewka

Prowadzenie: Joanna B. Bednarek,
Przemysław Czaplński

Organizatorzy: Wydział Filologii
Polskiej i Klasycznej UAM,
Centrum Humanistyki
Otwartej UAM, CK ZAMEK

→ 19.00

SPOTKANIE
Z DOMINKĄ SŁOWIK

prowadzenie: Marcin Jaworski

18.11.2020 /środa

→ 13.00

KANON OD NOWA
WYKŁAD
PROF. PRZEMYSŁAWA
CZAPLIŃSKIEGO
O „TRYLOGII
HUSYCKIEJ” ANDRZEJA
SAPKOWSKIEGO

→ 17.00

SPOTKANIE
Z MIKOŁAJEM ŁOZIŃSKIM

prowadzenie:
Katarzyna Kuczyńska-Koschany

→ 19.00

SPOTKANIE
Z IZABELĄ MORSKĄ

prowadzenie: Piotr Śliwiński

19.11.2020 /czwartek

→ 17.00

DEBIUT!
SPOTKANIE
Z MARIĄ KAPIŃSKĄ,
BARBARĄ SADURSKĄ
I BOLESŁAWEM
CHROMRYM

prowadzenie: Filip Modrzejewski

→ 19.00

SPOTKANIE
Z JOANNĄ RUDNIAŃSKĄ

prowadzenie: Bogumiła Kaniewska

20.11.2020 /piątek

→ 13.00

KANON OD NOWA
WYKŁAD
PROF. SZYMONA WRÓBLA
O „FERDYDURKE”
WITOLDA
GOMBROWICZA

→ 17.00

SPOTKANIE
Z SERGIEJEM
LEBIDIEWEM
(ROSJA)

prowadzenie: Piotr Oleksy,
tłumaczenie: Agnieszka
Smólczyńska-Wiechetek

→ 17.00

OGŁOSZENIE
LAUREATEK
POZNAŃSKIEJ
NAGRODY
LITERACKIEJ

21.11.2020 /sobota

→ 13.00

KANON OD NOWA
WYKŁAD
PROF. INGA IWASIOŃ
O „MORALNOŚCI
PANI DULSKIEJ”
GABRIELI ZAPOLSKIEJ

→ 16.00

PNL: SPOTKANIE
Z AGNIESZKĄ
PAJĄCZKOWSKĄ

prowadzenie: Inga Iwasioń

→ 17.30

PNL: SPOTKANIE
Z MONIKĄ GŁOSOWITZ
I JOANNĄ ŻABNICKĄ

prowadzenie: Krzysztof Hoffmann

14—29.11.

„Z DUCHA OPOWIEŚCI /
WYSTAWA GRAFIK
DARII MIELCARZEWICZ” /
Hol Wielki, CK ZAMEK

FESTIWAL FABUŁY 2020

Marcin JAWORSKI – kurator
Joanna PRZYGOŃSKA – koordynatorka programu
Maria Krześlak-Kandziora – współpraca

KSIĄŻKA FESTIWALOWA

redakcja – Joanna B. Bednarek, Dawid Gostyński
korekta – Anna Borzeskowska, Karol Francuzik
projekt – Marcin Markowski

Na książkę festiwalową składają się w większości teksty napisane przez studentki i studentów polonistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz teksty publikowane w „CzasieKultury.pl” między marcem a lipcem 2020.

Redakcji „CzasuKultury.pl” dziękujemy za przekazanie tekstów i współpracę.

ORGANIZATOR

Centrum Kultury ZAMEK
ul. Św. Marcin 80/82
61-809 Poznań
www.ckzamek.pl
www.zamekczyta.pl
www.festiwalfabuly.pl

ISBN: 978-83-956168-6-0



POZnań*



CzasKultury



 epoznan.pl



organizatorzy

patroni medialni

